

NORA ROBERTS

**Kuszenie
losu**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Samolot miał wylądować za pół godziny, a Diana nadal nie wiedziała, czy dała się ponieść impulsowi, czy to racjonalna decyzja kazała jej wybrać się w tę podróż.

Brata nie widziała od prawie dwudziestu lat. Kiedy o nim myślała, przed oczami stawał jej obraz trochę tajemniczego nastolatka. Kochała go wtedy tak, jak tylko małe dziecko potrafi kochać dorastającego chłopaka.

Pamiętała chłodne spojrzenie jego zielonych oczu i jego nieco arogancką niezależność. Zawsze był samotnikiem i nawet sześcioletnia wówczas Diana doskonale potrafiła zrozumieć, że Justin Blade zwykł chadzać własnymi drogami.

Uśmiechając się do swoich myśli, oparła głowę o zagłówek fotela. Tak, dwadzieścia lat temu Justin wybrał własną drogę. Kiedy umarli ich rodzice, usiłował ją pocieszać, ale była zbyt zrozpaczona, by to zrozumieć. Myślała, że rodzice odeszli, bo nie chciała chodzić do szkoły. Starła się odtąd uważać na lekcjach i czekała, aż wróca.

Nie wrócili. Za to w domu pojawiła się ciotka Adelaide, a Justin wkrótce wyjechał. Bardzo długo myślała, że i on poszedł do nieba. Płakała, zamięczała wszystkich wokół pytaniami. Wtedy ciotka zabrała ją na wschód i Diana znalazła się nagle w innym świecie.

Przez dwadzieścia lat brat ani razu nie próbował nawiązać z nią kontaktu. Ożenił się, tyle wiedziała, ale zupełnie nie potrafiła wyobrazić sobie chłopca ze swych wspomnień w roli statecznego męża.

Serena MacGregor - Diana kilka razy powtórzyła w myślach nazwisko bratowej. Dziwne. Z trudem mogła oswoić się z perspektywą spotkania brata, a tu jeszcze bratowa.

Owszem, słyszała o MacGregorach z Hyannis Port. Ciotka Adelaide uważała, że edukacja Diany byłaby niepełna, gdyby dziewczyna nie znała pierwszych rodzin w kraju, tym bardziej, że mieszkający w pobliżu Bostonu MacGregorowie byli prawie ich sąsiadami. I należeli do arystokracji pieniądza, jedynej, jaką może poszczycić się Ameryka.

Rodzinną fortunę zbudował patriarcha rodu, Szkot z pochodzenia, Daniel MacGregor. Jego żona Anna była wybitnym chirurgiem, zaś Alan, najstarszy syn, został senatorem, z którym jego partia wiązała wielkie nadzieje. No i był jeszcze młodszy syn, Caine.

Caine MacGregor miał zaledwie trzydzieści lat, ale jego nazwisko często rozbrzmiewało w szacownych murach Harvard Law School, gdzie zdobył dyplom. Diana studiowała prawo na tej samej uczelni, ślęczała nad tymi samymi, co on, książkami, słuchała wykładów tych samych profesorów. Tyle że MacGregor skończył studia na rok przed tym, zanim ona je podjęła, i od razu zaczął robić błyskotliwą karierę.

Kiedyś, kiedy była jeszcze na pierwszym roku, podsłuchiwała rozmowę dwóch starszych koleżanek. Plotkowały o Caine'ie, ale bynajmniej nie analizowały zalet jego umysłu. Najwyraźniej nadzieja palestry oddawała się nie tylko nauce.

Ostatnia z rodzeństwa, Serena, utalentowana jak wszyscy MacGregorowie, skończyła z wyróżnieniem Smith College, a potem przez kilka lat studiowała na różnych kierunkach. Dziwnie nie pasowała do Justina Blade'a, przynajmniej takiego, jakim zapamiętała go Diana.

Czy pojechałaby na ślub brata i Sereny, gdyby była wtedy w kraju? Tak, odpowiedziała sobie po chwili zastanowienia. Choćby tylko z czystej ciekawości. W końcu to właśnie ciekawość kazała jej teraz lecieć do Atlantic City. Ciekawość i uprzejmość. Odrzucić zaproszenie Sereny byłoby gestem dziecinnym i niegrzecznym, a ciotka Adelaide nauczyła Dianę, by nigdy nie zachowywać się dzie-

cinnie i niegrzecznie, w każdym razie nie wobec równych sobie.

Diana wzruszyła ramionami na myśl o osobliwej dwuznaczności zasad, którym kierowała się ciotka Adelaide, i sięgnęła po list od Sereny.

Droga Diano,

Nie mogłam odżałować, że pobyt w Paryżu uniemożliwił Ci obecność na naszym ślubie. Zamęczałam zawsze rodziców, by mieć siostrę, ale nie chcieli mnie słuchać. Teraz, kiedy wreszcie ją mam, nie mogę się nią cieszyć. Justin często opowiada o Tobie, to jednak nie to samo, co zobaczyć cię na własne oczy, tym bardziej, że on pamięta Cię małą dziewczynką. Myślę, że nic nie sprawiłoby mu większej radości niż spotkanie z Tobą.

W imieniu nas obojga wysyłam Ci bilet lotniczy. Zrób z niego użytek, proszę, i zechciej złożyć nam wizytę w Comanche. Ty i Justin musicie nadrobić lata rozłąki, a i ja powinnam wreszcie poznać swoją siostrę.

Rena

Diana złożyła kartkę. Serdeczny, bezpośredni, ujmujący ton. Nie tak wyobrażała sobie kobietę, którą Justin mógłby wybrać na żonę.

Kiedyś rozpaczliwie brakowało jej brata, ale dawno pogrzebała tę tęsknotę. Musiała, inaczej nie

przeżyłaby w świetle ciotki Adelaide. Ciotka miała swoje niewzruszone zasady. Gdyby wiedziała, że Diana zamierza zatrzymać się w hotelu z kasynem, zapewne byłaby zgorszona. Wygłosiłaby jeden ze swoich niekończących się wykładów o tym, czego nie wypada robić damie. Jakby to miało teraz jakieś znaczenie.

Spotka się z bratem, z bratową, zaspokoi ciekawość i wróci do domu. Nie jest już tamtą małą dziewczynką sprzed lat, bezkrytycznie zapatrzoną w Justina. Ma swoje życie, swoją pozycję zawodową. .. ale ma też ochotę doświadczyć czegoś nowego, dodała szybko w myślach.

Pewnie w ogóle nie przyleci, zżymał się Caine. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Serena upierała się, że dziewczyna na pewno się pojawi, skoro nawet nie odpowiedziała na list. Jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że zgodził się odebrać ją z lotniska.

Cóż, siła wyższa. Rena zapewne zrobiłaby to sama, gdyby nagle nie okazało się, że musi zostać w hotelu. Pamiętając, przez jakie piekło przeszła w ostatnich miesiącach, Caine był bardziej wyrozumiały dla drobnych kaprysów siostry.

Pogrążony w myślach szedł szybko przez terminal lotniska. Nawykły do częstych podróży, nie zwracał uwagi na tłum i zgiełk. Zerknął na monitor, sprawdził numer bramy, którą powinni wyjść

pasażerowie przylatujący z Bostonu, po czym usadowił się tuż obok niej i spokojnie zapalił papierosa.

Poczekaj, aż wszyscy wyjdą, i wróci do hotelu. Serena będzie zadowolona, że spełnił jej prośbę, a on zdąży jeszcze pójść do siłowni. Od chwili kiedy skończyła się jego kadencja prokuratora stanowego i na nowo podjął prywatną praktykę, rzadko miał chwilę czasu dla siebie, chętnie więc korzystał z każdej możliwości odpoczynku. Teraz czekał go tydzień wspaniałego próżnowania. Zapomni o swojej kancelarii, nawale papierkowej roboty i stosach akt piętrzących się na biurku.

Przyleciała. Ledwie ją zobaczył, wiedział, że to ona. Miała wysokie kości policzkowe, jakie widział u Justina, i taką samą złotą karnację skóry. U niej domieszka indiańskiej krwi była jednak bardziej widoczna, bo miała ciemne, wielkie oczy, ocienione długimi rzęsami. Oczy gazeli, pomyślał Caine, podnosząc się z krzesła. Może nie była klasycznie piękna, ale jej wyrazista twarz na pewno zapadała w pamięć. On w każdym razie natychmiast zwrócił na nią uwagę.

Diana przełożyła torbę na drugie ramię, odrzucając do tyłu gęste, kruczoczarne włosy. Poruszała się lekko i z wdziękiem. Kiedy Cain stanął nagle przed nią, zatrzymała się w pół kroku i zerknęła na intruza bez szczególnego zainteresowania.

- Diana Blade? - zagadnął ją bez cienia uśmiechu.

- Tak? - Lekko uniosła brwi.

- Caine MacGregor, brat Reny. - Nie spuszczać z niej wzroku, wyciągnął dłoń.

A więc to jest ten zabójczy MacGregor, pomyślała Diana.

- Miło mi - powiedziała, oddając uścisk.

- Rena chciała wyjechać po ciebie osobiście, ale pilne sprawy zatrzymały ją w hotelu. - Caine cały czas wpatrywał się w jej twarz, a jednocześnie usiłował odebrać jej bagaż. - Byłem prawie pewien, że nie przylecisz - stwierdził bez ogródek.

- Tak? - Diana mocniej zacisnęła palce na pasku torby. Nie zamierzała rozstać się ze swoją własnością. - A twoja siostra?

Caine przez chwilę zastanawiał się, czy po prostu nie wyszarpnąć jej tej torby. W wielkich sennych oczach Diany było coś, co budziło w nim chęć wprowadzenia ich właścicielki w irytację. W końcu jednak wzruszył tylko ramionami i opuścił dłoń.

- Rena była przekonana, że przyjedziesz. Jest bardzo rodzinna i uważa, że wszyscy czują podobnie. - Uśmiechnął się pod nosem i ujął ramię Diany. - Chodźmy odebrać twoje bagaże.

Bez oporów pozwoliła poprowadzić się w kie-

runku hali bagażowej, co wcale nie oznaczało, że zamierzała przyjąć bierną postawę.

- Nie lubisz mnie, MacGregor? - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Caine uniósł brwi, ale nie spojrzał nawet na swoją towarzyszkę.

- Nie znam cię. Ale skoro jesteśmy, w pewnym sensie, rodziną, możemy chyba darować sobie kurtuazję?

Diana zaczynała powoli rozumieć, dlaczego Caine odnosi takie sukcesy w swoim zawodzie. Taki głos, ciepły, ale nie pozbawiony stanowczych tonów, z pewnością pomaga mu w karierze prawniczej.

- Jasne - przytaknęła. - Powiedz mi, skoro byłeś pewien, że nie przyjadę, skąd wiedziałeś, że to na mnie czekasz?

- Jesteś bardzo podobna do Justina.

- Doprawdy? - mruknęła, kiedy zatrzymali się przy transporterach.

- Owszem - przytaknął. - Istnieje pewne rodzinne podobieństwo, chociaż gdyby postawić was obok siebie...

- Po temu akurat nie było zbyt wielu okazji - przerwała mu sucho, wskazując niedbałym gestem swój bagaż.

Przywykła, że jej usługują, pomyślał Caine z przekąsem i posłusznie zdjął z taśmy dwie skórzane walizy.

- Justin na pewno się ucieszy, widząc cię po tylu latach rozłąki.

- Możliwe. Musisz go bardzo lubić.

- Znam go od dziesięciu lat. Przyjaźniłem się z nim, jeszcze zanim został moim szwagrem.

Miała ochotę zapytać, jaki jest Justin, ale powściągnęła ciekawość. Dawno już zdążyła wyrobić sobie opinię w tej kwestii i niczyje zdanie nie mogło jej zmienić.

- Zatrzymałeś się w Comanche?

- Tak. Zostanę tu jakiś tydzień.

Kiedy wyszli przed budynek lotniska, owiało ich zimne styczniowe powietrze. Diana machinalnie schowała ręce do kieszeni.

- Trochę dziwny czas na wakacje nad morzem.

- Może dla niektórych. O tej porze roku ludzie przyjeżdżają grać w kasynie. Dla nich pogoda nie ma żadnego znaczenia.

- Ty też przyjechałeś grać?

- Nie. Bywa, że czasami siadę do stolika, ale w naszej rodzinie to Rena ma żyłkę hazardzistki.

- Co by oznaczało, że dobrali się w Justinem w korcu maku.

Caine odstawił walizki i wyciągnął z kieszeni kluczyki.

- Sama osądzisz - stwierdził krótko, wkładając walizki do bagażnika. - Diano. - Położył dłoń na jej ramieniu i odgarnął z jej czoła zabłąkany kos-

myk włosów. - Sprawy nie zawsze tak się mają, jak wyglądają z pozoru.

- Nie rozumiem.

Przez chwilę stali w milczeniu na wietrznym, rozbrzmiewającym hukiem samolotów parkingu. Diana na moment zapomniała, że ten człowiek o łagodnym spojrzeniu słynął jako postrach sal sądowych i demon sypialni.

- Jesteś piękna - odezwał się wreszcie Caine.

- Masz też serce?

- Chyba tak.

- Zatem daj Justinowi szansę.

- Nie sądzisz, że już mój przyjazd jest aktem dobrej woli?

- Może...

- Czyli tak nie uważasz?

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że przyjechałaś przede wszystkim z ciekawości - rzucił, wsiadając do samochodu.

- Godna podziwu przenikliwość.

Przez twarz Caine'a przemknął uśmiech.

- Nie narzekam - mruknął, przekręcając kluczyk w stacyjce jaguara. - Może jednak zostaniemy przyjaciółmi, choćby ze względu na twojego brata? Jak się udał pobyt w Paryżu?

Dobrze, możemy prowadzić banalną rozmowę, pomyślała Diana, sadwiąc się wygodnie w fotelu.

- Pogoda była nieszczerólna - zaczęła.

- Na rue du Four jest kafejka, gdzie podają najwspanialsze suflety po obu stronach Atlantyku - rozmarzył się Cain, wyjeżdżając z lotniska na autostradę.

- Chez Henri?

Rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

- Znasz ją?

- Owszem. - Diana uśmiechnęła się nieznacznie i odwróciła głowę. Lubiła to małe, wiecznie zatłoczone bistro, którego progu ciotka Adelaide nie przekroczyłaby nigdy w życiu, nawet gdyby miała umrzeć z głodu. Zabawne, że Caine MacGregor też je sobie upodobał. - Często bywasz w Paryżu?

- Nie, ostatnio wcale.

- Moja ciotka właśnie się tam przeniosła. Pomagałam się jej urządzić.

- Mieszkaś w Bostonie, prawda? W jakiej dzielnicy?

- Kupiłam niedawno dom na Charles Street.

- Jaki ten świat mały. Jesteśmy prawie sąsiadami. Czym się zajmujesz?

Diana odgarnęła z policzka kosmyk włosów i spojrzała uważnie na Caine'a.

- Tym samym, co ty - stwierdziła krótko. - Na pewno pamiętasz profesora Whitemana? - zagadnęła po chwili. - Zawsze bardzo dobrze się o tobie wyrażał.

- Studenci nadal nazywają go Szkielet?

- Jakżeby inaczej.

Caine ze śmiechem pokręcił głową.

- Jesteś prawnikiem i skończyłaś Harvard. Łączy nas więcej, niż mogłoby się wydawać. Pracujesz w kancelarii adwokackiej?

- Tak. Barclay, Stevens & Fitz.

- Znakomita firma. - Zerknął na Dianę z uznaniem. - I bardzo szacowna.

- O tak - przytaknęła odprężona. - Prowadzę fascynujące sprawy - dorzuciła ironicznie. - Nie dalej jak w zeszłym tygodniu broniłam syna naszego radnego, który notorycznie przekracza dozwoloną szybkość i ucieka przed drogówką.

- Za piętnaście, dwadzieścia lat wyrobisz sobie pozycję - pocieszył ją Caine.

- Mam inne plany. - Kilka lat praktyki w znanej firmie powinno zapewnić jej na tyle dobry start, by koło trzydziestki mogła myśleć o otwarciu własnej kancelarii. Niewielkie biuro, znajdująca się na swoim fachu sekretarka i...

- Mianowicie?

Otrząsnęła się ze swych marzeń. Nie zamierzała mówić o wszystkim. Nigdy tego nie robiła.

- Chcę się specjalizować w prawie kryminalnym.

- Dlaczego akurat kryminalnym?

- Z potrzeby walki o sprawiedliwość i prawa

człowieka. - Parsknęła śmiechem. - Lubię ostre spory.

Caine pokiwał głową. Być może pod nienaganymi manierami i świetnie skrojonym kostiumem krył się ktoś znacznie ciekawszy niż tylko dobrze urodzona, starannie wykształcona osóbką po studiach na Harvardzie.

- Jesteś dobra?

- Studentka drugiego roku prawa poradziłaby sobie ze sprawami, które w tej chwili prowadzę. - Poprawiła się w fotelu. - Stać mnie na znacznie więcej. Zamierzam zająć wysoko.

- Godne pochwały ambicje - pochwalił Caine, skracając w kierunku Comanche. - Ja już zaklepałem sobie miejsce na szczycie.

Diana zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Zobaczymy, kto pierwszy tam dotrze.

Caine uśmiechnął się tylko w odpowiedzi, ale jej nie zbijały z tropu ani jego kąśliwe uśmiechy, ani badawcze spojrzenia. - Jeśli czegoś była naprawdę pewna, to swoich kwalifikacji. Caine MacGregor jeszcze o niej usłyszy.

- Bagaże pani Blade są w bagażniku - rzucił w kierunku szwajcara, kiedy wysiedli przed hotelem, po czym zwrócił się do Diany: - Rena na pewno nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć. Chyba że wolisz iść najpierw do swojego pokoju.

- Nie. - Natychmiast zauważyła, że powie-

dział Rena, nie Justin, i poczuła niemiły ucisk w żołądku.

- W takim razie chodźmy do niej.

Diana rozejrzała się po wytwornym holu.

- A więc tak wygląda hotel Justina.

- Tylko w części należy do niego - sprostował Caine, kiedy wsiadali do windy. - W zeszłym roku Rena odkupiła połowę udziałów.

- Rozumiem. W ten sposób się poznali?

- Nie - zaśmiał się. Po chwili, widząc zdziwione spojrzenie Diany, dodał: - To taki rodzinny żart. Rena na pewno ci go opowie, ale sens zrozumiesz dopiero, kiedy poznasz naszego ojca. - Zawahał się. - Chociaż może byłoby lepiej, gdybyś go nie poznawała, bo sam znajdę się w podobnej sytuacji. - Musnął palcami jej włosy. - Jesteś naprawdę piękna, Diano.

Wymówił jej imię w taki sposób, że poczuła ciarki na plecach. Cóż, trudno się dziwić, pomyślała. MacGregor uchodził przecież kobieciarza.

- W Harvardzie zostawiłeś po sobie niezłą opinię. Nie tylko ze względu na sukcesy naukowe - dodała znacząco.

- Tak? - Był wyraźnie rozbawiony. - Musisz mi o tym opowiedzieć przy okazji.

- O pewnych rzeczach lepiej nie opowiadać.
- Diana pierwsza wysiadła z windy i obejrzała się przez ramię. - Chociaż zawsze mnie intrygowało,

czy ten incydent w bibliotece zdarzył się naprawdę.

- Hmm. - Caine potarł brodę niby to zakłopotanym gestem. - Pozwoli pani, że odwołam się do Piątej Poprawki i nie udzielę odpowiedzi na jej pytanie.

- Tchórz.

- A jakże. - Powoli otworzył drzwi apartamentu i zatrzymał się w progu. - Ciagle o tym mówią?

Diana z trudem powstrzymała uśmiech. MacGregor nie wydawał się szczególnie zażenowany.

- Rzecz przeszła do legendy. Szampan i namiętność w przerwie między wkuwaniem prawa kryminalnego stanu Massachusetts i postępowania rozwodowego.

Caine wzruszył ramionami.

- To było piwo, nie szampan. Opowieść zaczęła żyć własnym życiem. - Posłał Dianie czarujący uśmiech. - Nie wierzysz chyba we wszystko, co usłyszysz?

- Nie we wszystko - zgodziła się i weszła do środka.

Apartament Justina zaskoczył ją swoją elegancją. Dominowały tu stonowane kolory, zauważyła też kilka ciekawych rzeźb i szkiców pastelem. Jedną ścianę zajmowały ogromne panoramiczne okna z widokiem na Atlantyckie.

Ciekawe, które z nich decydowało o wystroju? Czy taki gust miał Justin? W tej chwili wydawał jej się daleki i obcy bardziej niż kiedykolwiek. Pamiętała go jako niepokornego chłopca i nigdy nie poznała mężczyzny, jakim stał się przez te wszystkie lata. Nagle zrozumiała, że takie powroty do przeszłości nie mają sensu i że popełniła błąd, przyjeżdżając tutaj.

Ogarnięta paniką odwróciła się ku drzwiom i stanęła twarzą w twarz z Cainem.

- Przed kim chcesz uciekać? - zapytał, kładąc jej dłonie na ramionach. - Przed sobą czy przed Justinem?

- Nie twoja sprawa - ucieła.

- Nie moja - zgodził się miękko.

W tej samej chwili rozsunęły się drzwi windy, której Diana wcześniej nie zauważyła i pojawiła się w nich drobna niebieskooka blondynka. Wyciągnęła obie dłonie i serdecznie uściskała Dianę.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś. Jakaś ty śliczna - powiedziała z ciepłym uśmiechem. - I taka podobna do Justina. Prawda, Caine?

- Uhhh - mruknął w odpowiedzi.

Oszołomiona wylewnością bratowej Diana cofnęła się o krok.

- Dziękuję za zaproszenie...

- Ostatnie oficjalne zaproszenie, jakie ode mnie dostałaś - przerwała jej Serena. - Teraz jesteśmy

rodziną, a rodziny nie trzeba zapraszać. Caine, przyniesiesz nam coś do picia? Na co masz ochotę, Diano?

- Poproszę odrobinę wermutu. - Ciągłe jeszcze czuła się skrępowana, podeszła więc do okna i zagadnęła: - Hotel jest wspaniały, Sereno. Caine wspomniał, że ty i Justin jesteście współnikami.

- Tak - Serena ze śmiechem usadowiła się na kanapie. - I widać współpraca układa nam się nieźle, bo kupiliśmy drugi, na Malcie. Teraz przeprowadzamy w nim remont i myślimy już o następnych.

- Okazuje się, że jesteśmy z Dianą sąsiadami - wtrącił Caine, podając jej kieliszek.

- Naprawdę?

Diana odetchnęła z ulgą. Napięcie powoli ją opuszczało. Jeszcze chwila, a zupełnie uspokoi skołatane nerwy.

- Tak - przytaknęła. - Zbieg okoliczności.

- Który nie kończy się na sąsiedztwie - uzupełnił Caine z uśmiechem. - Uprawiamy ten sam zawód.

- Jesteś prawnikiem? - dopytywała się Serena.

- Tak. Skończyłam Harvard kilka lat po Caine'ie. - Diana niecierpliwie obracała w palcach kieliszek. Żałowała, że poprosiła o drinka. - Nadal go tam wspominają - dodała.

Serena przyjęła jej słowa głośnym śmiechem.

- W to nie wątpię. Zazwyczaj człowiek powinien dość ostrożnie traktować zasłyszane historie, ale w przypadku Caine'a... - zawiesiła głos i posłała bratu znaczący uśmiech. - Otóż w przypadku Caine'a zastanawiam się zawsze, czy prawda nie była znacznie bardziej barwna od anegdoty.

- Wzrusza mnie twoja wiara w moje możliwości - mruknął Caine.

Muszą być ze sobą bardzo zżyci, pomyślała Diana. Łączy ich wspólne dzieciństwo, młodość, dziesiątki wspomnień. Poczwała bolesne ukłucie w sercu. Ona i Justin nie mają takich wspomnień. Po co właściwie tu przyjechała?

- Sereno - zaczęła. - Bardzo się cieszę, że mnie zaprosiłaś, ale zastanawiam się... - Upiła łyk wermutu dla dodania sobie animuszu. - Czy Justin nie czuję się równie niezręcznie jak ja?

- Nic nie wie o twojej wizycie - przyznała Serena, a widząc pełne niedowierzania i bólu spojrzenie Diany, dodała pospiesznie: - Nie byłam pewna, czy przyjedziesz. Chciałam oszczędzić mu rozczarowania. Gdybyś odrzuciła zaproszenie, byłby bardzo zawiedziony.

- Tak uważasz? - bąknęła Diana, z trudem tłumiąc emocje.

- Nie znasz go. Wyobrażam sobie, jak się musisz czuć. - Serena odstawiła kieliszek i podniosła się z kanapy. - Proszę, nie zamykaj się przed nim.

On jest... - Przerwał jej odgłos wjeżdżającej na piętro windy.

Niech to diabli! Rozzłoszczona Serena miała ochotę tupnąć w podłogę. Zabrakło jej tylko kilku chwil, by wszystko wyjaśnić! Niepewnie zerknęła na Dianę, która stała poblądła ze wzrokiem wbitym w drzwi.

- Tu jesteś. - Justin podszedł prosto do żony.
- Znikłaś tak nagle.

- Justinie - zaczęła Serena, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poczuła wargi męża na swoich ustach.

Jaki on wysoki, pomyślała Diana w odrętwieniu. Wysoki, pewny siebie, zadowolony z życia. Ile w nim zostało z chłopca, którego znała? Kiedyś, kiedy do miasta przyjechał cyrk, Justin wziął ją na barana, żeby mogła lepiej widzieć w tłumie. Boże, dlaczego akurat przypomniał się jej ten błahy epizod?

- Justinie - podjęła Serena, usiłując uwolnić się z objęć męża. - Mamy gościa.

Justin rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Caine'a i mocniej przytulił do siebie żonę.

- Idź sobie, Caine. Mam ochotę kochać się z twoją siostrą.

- Justinie! - Serena ze śmiechem wskazała głową w stronę okna.

- Och, nie Zauważyłem, że Caine przyszedł z przyjaciółką.

Nawet mnie nie poznaje, pomyślała Diana, zaciskając palce na nóżce kieliszka. Rozpaczliwie chciała coś powiedzieć, ale w głowie czuła wyłącznie pustkę.

Justin zmrużył oczy i powoli odsunął się od żony.

- Diana? - W jego głosie zabrzmiało niedowierzanie.

Nie odpowiedziała, wpatrzona w niego nieruchomym wzrokiem. Miał ochotę dotknąć jej, uścisnąć, ale nie był w stanie wykonać żadnego gestu. Zapamiętał ją małą dziewczynką, teraz miał przed sobą dorosłą kobietę.

- Obcięłaś kucyki - wybąkał i poczuł się jak idiota.

- Wiele lat temu. - Diana przywołała na pomoc zasady dobrego wychowania, jakie przez lata wpajała jej ciotka Adelaide. - Dobrze wyglądasz, Justinie - zauważyła z uprzejmym uśmiechem.

- Ty też - zrewanżował się równie zdawkowo. - Jak się miewa ciotka?

- Świetnie. Mieszka teraz w Paryżu. - Wzruszyła ramionami. - Twój hotel robi wrażenie.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się przymusem. - Mam nadzieję, że zatrzymasz się u nas na dłużej.

- Przyjechałam na tydzień. - Zaczęły ją już boleć kurczowo zaciśnięte na kieliszku palce. - Nie

miałam okazji pogratulować ci z okazji ślubu. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy.

- Tak, jestem szczęśliwy.

Serena nie mogła już dłużej słuchać tej pustej konwersacji.

- Siadaj, Diano - poprosiła.

- Jeśli pozwolicie, chciałabym się rozpakować, odświeżyć po podróży. - Diana zauważyła, że w oczach bratowej zamigotał ledwo dostrzegalny wyraz dezaprobaty.

- Oczywiście - przytaknął skwapliwie Justin, zanim Serena zdążyła zaprotestować. - Zjesz z nami dzisiaj kolację?

- Z przyjemnością.

- Odprowadzę cię do pokoju. - Caine dokończył swojego drinka i odstawił kieliszek.

Kiedy weszli do jej pokoju, Diana chciała podziękować Caine'owi i pozbyć się go jak najszybciej, ale on najwyraźniej nie zamierzał jej na to pozwolić.

- Siadaj - rzucił.

- Jeśli pozwolisz, chciałabym...

- Może skończysz drinka?

Dopiero teraz zorientowała się, że nadal ścisła w dłoni kieliszek. Wzruszyła ramionami i rozejrzała się po pokoju.

- Miło tutaj - zauważyła, choć tłumione emo-

cje niemal przyćmiewały jej wzrok. - Dziękuję, że mnie odprowadziłeś, Caine, ale teraz naprawdę muszę się rozpakować.

- Usiądź, Diano. Nie zostawię cię samej w takim stanie.

- W jakim stanie? - Jej głos zabrzmiał zbyt ostro nawet dla niej samej. Zniecierpliwiona, pociągnęła mały łyk wermutu. - Jestem zmęczona, więc jeśli pozwolisz...

- Obserwowałem cię. - Caine położył jej dłonie na ramionach i lekko, acz stanowczo pchnął ją na krzesło. - Zemdlałabyś, gdybyś została tam chwilę dłużej.

- To śmieszne. - Diana z trzaskiem odstawiła kieliszek na stół.

- Naprawdę? - Caine nachylił się, ujął jej dłonie i zaczął rozcierać zdrętwiałe palce. - Masz lodowate ręce. Nie mogłaś okazać mu odrobinę serdeczności?

- Nie. Nie mam mu nic do zaoferowania. - Wyszarpnęła dłonie i wstała gwałtownie. - Zostaw mnie samą, proszę.

Stali teraz tak blisko siebie, że dostrzegła ledwie zauważalne drgnienie brwi Caine'a.

- Jesteś uparta - mruknął, jakby od niechcenia przesuwając kciukiem po jej wargach. - Od razu to zauważyłem, już na lotnisku. Diano. - Z westchnieniem odgarnął włosy z jej policzka.

- Krzywdzisz sama siebie, ukrywając swoje uczucia.

- Nic nie wiesz o moich uczuciach. - Głos jej drżał. W popłochu pomyślała, że jeszcze chwila, a się rozpłacze. Nie, postanowiła twardo, na pewno nie będzie szlochać przy obcym człowieku. Nie przy nim. - To nie twoja sprawa. - Podniosła dłoń do ust, rozpaczliwie tłumiąc łkanie. - Zostaw mnie samą.

Niespodziewanie znalazła się w ramionach Caine'a.

- Dobrze - mruknął. - Pójdę sobie, ale dopiero wtedy, kiedy się wypłaczesz.

ROZDZIAŁ DRUGI

Morze było szare, spienione i groźne. W powietrzu unosił się zapach soli. Diana szła plażą, wsłuchując się w ciche skrzypienie ściętego mrozem piasku pod stopami. Postawiła wysoko kołnierz, twarz wystawiała na smagnięcia lodowatego wiatru. Rozkoszowała się samotnością.

Zawsze otaczali ją ludzie. W domu ciotki w Bacon Hill nigdy nie zostawała sama. Uśmiechnęła się smutno na to wspomnienie. Ciotka nieustannie ją kontrolowała, upominała, zamezczała długimi wykładami o tym, co młodej damie wypada, a czego nigdy robić nie powinna. Żyła w lęku, że w Dianie odezwie się krew Blade'ów i nieokiełznany temperament Komanczów.

Ale Diana potrafiła sobie radzić z tym dziedzictwem. Musiała, bo nie miała nikogo poza ciotką. Od początku była jej we wszystkim posłuszna i ciągle drżała ze strachu, żeby ciotka nie opuściła jej tak, jak wszyscy inni. Wiedziała, że zajęła się nią z poczucia obowiązku, ale pokochać nie potrafiła.

Diana była dzieckiem jej przyrodniej siostry, ciemnowłosej dziewczyny o złocistej skórze, półkrwi Indianki z plemienia Komanczow. Jakby tego nie dosyć, matka Diany, z trudem zaakceptowana przez Adelaide, wyszła za mąż za Blade'a. Zew krwi prędzej czy później zawsze da znać o sobie, zwykła mówić Adelaide, przekonana, że jej przyrodnia siostra popełniła mezalians. Odpowiednie wychowanie Diany miało naprawić tamten błąd, być zadośćuczynieniem za zdradę.

Dziedzictwo Komanczow należało wykorzenić. Adelaide we wszystkim dążyła do perfekcji i z dumą nosiła nazwisko Grandeau. Diana miała być jej wierną kopią, wyznawać te same wartości i zasady. Dziewczynka szybko zrozumiała, że musi być ostrożna, posłuszna i nie zadawać żadnych pytań.

Przystosowała się. W szkole dostawała same piątki, uczyła się muzyki. Stała się nad wiek poważna i rozsądna. To był jej sposób na przetrwanie.

Czasami pragnęła zrobić coś szalonego i nielogicznego, ale nawet nie próbowała tego zrealizować. Tłumiła w sobie spontaniczność, odsuwała na bok marzenia.

Jej cichy bunt ograniczał się do bywania w restauracjach nie oznaczonych czterema gwiazdkami oraz oglądania filmów nie zaliczanych do ambitnych, ale i to wystarczało, by wywołać oburzenie ciotki, gdyby tylko się o tym dowiedziała. Diana

ukrywała więc swoje drobne słabości, pasję do szybkich samochodów i pragnienie samotnych spacerów po zimowej plaży.

Czy Justin podzielał tę namiętność, lubił ocean zimą i dlatego osiadł właśnie tutaj? Zatrzymała się na chwilę i w zamyśleniu spojrzała na rysującą się w oddali sylwetkę hotelu.

Nic nie wiedziała o człowieku, który poprzedniego wieczoru siedział naprzeciwko niej przy stoliku. Niewiele mieli sobie do powiedzenia. Nie pomogły nawet błagalne spojrzenia Sereny. Rozmowa nie wyszła poza banalną konwersację obcych sobie ludzi.

Serena MacGregor. Co taka kobieta jak ona mogła wiedzieć o uczuciach Diany? Wyrosła otoczona rodzinnym ciepłem i miłością. Nikt nie zmuszał jej, by zapomniała o swoim pochodzeniu. Wystarczyło spojrzeć, jak serdeczna więź łączyła ją z bratem.

Diana westchnęła. Nie wiedziała, co myśleć o Caine'ie. Zaskoczył ją swoją delikatnością, kiedy szlochała w jego ramionach po pierwszym spotkaniu z Justinem, ale czuła w nim także niebezpieczną siłę i stanowczość...

- Wcześniej wstałaś.

Odwróciła się gwałtownie i niemal zderzyła z Cainem.

- Chciałam obejrzeć wschód słońca. - Wy-

mownie spojrzęła na zachmurzone, ołowiane niebo. - Jak widać, nie miałam szczęścia.

- Przejdźmy się. - Wziął ją za rękę, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. - Lubisz plażę?

Diana odetchnęła. Caine nie zamierzał besztać jej za postępowanie z Justinem ani wypominać napiętej atmosfery przy kolacji.

- Latem raczej nie - przyznała. - Nigdy jednak nie myślałam, że może być taka wspaniała zima. Często tu przyjeżdżasz?

- Nie za bardzo. Na szczęście i ja, i Alan byliśmy tutaj akurat wtedy, kiedy kilka miesięcy temu porwano Serenę i...

- Co takiego? - Diana zatrzymała się w pół kroku.

Caine spojrzął na nią ze zdziwieniem.

- Nic nie wiedziałaś?

- Nie. Prawdopodobnie byłam wtedy w Europie. Co właściwie się stało?

- To długa historia. - -przerwał na chwilę. Nie był to dla niego przyjemny temat. - W hotelu Justina w Vegas ktoś miał podłożyć bombę. Justin pojechał tam i wtedy dostał następny list z pogróżkami. Próbował nakłonić Renę, żeby wyjechała, ale ona... - Uśmiechnął się nieznacznie. - Jest uparta podobnie jak ty. Justin akurat dzwonił na policję, kiedy do jej apartamentu wdarł się porywacz. Przetrzywał Renę dwadzieścia cztery godzi-

ny, przykutą kajdankami do łóżka. Żądał od Justina dwóch milionów okupu.

- Dobry Boże. - Dianę przeszedł dreszcz na myśl o tym, co przeszła drobna, niebieskooka Rena.

- Znam Justina dziesięć lat, ale nie widziałem go jeszcze nigdy w takim stanie. - Głos Caine'a brzmiał spokojnie, ale w jego oczach można było zobaczyć wściekłość. - Nie jadł, nie spał. Siedział przy telefonie i czekał. Kiedy wreszcie chłopak pozwolił mu zamienić kilka słów z Reną, domyśliliśmy się, z kim mamy do czynienia. W pewnym sensie było to jeszcze gorsze niż niepewność.

- Dlaczego?

Caine zatrzymał się i spojrzał na Dianę. Nie może o tym wiedzieć, pomyślał. Czas zatem, żeby się dowiedziała.

- Kiedy Justin miał osiemnaście lat, wdał się w bójkę w barze. Facetowi, który zaczął burdę, nie podobało się, że musi pić z Indianami.

W wielkich, ciemnych oczach Diany pojawił się lodowaty błysk.

- Rozumiem.

- Wyciągnął nóż. Rozpłatał Justinowi skórę na piersi na dwadzieścia centymetrów. - Caine widział, że Diana niebezpiecznie pobladła, ale mówił dalej: - Zginął od własnego noża, a Justina oskarżono o zabójstwo.

Diana poczuła, że robi się jej niedobrze.

- Justin siedział w więzieniu?

- Tak. Został uniewinniony, ale kilka miesięcy spędził w areszcie.

- Ciotka nigdy mi o tym nie wspomniała.

- Musiałaś mieć wtedy około ośmiu lat. Nie przypuszczam, żebyś wiele mu pomogła.

Ja nie, pomyślała Diana, ale ciotka, ze swoimi pieniędzmi i wpływami tak. Dobry Boże, Justin był wtedy jeszcze dzieciakiem! Przymknęła oczy, starając się odgonić ponure myśli.

- Mów dalej.

- Okazało się, że Renę porwał syn człowieka, który zginał w barze. Matka latami wbijała mu do głowy, że Justin zamordował jego ojca i nie poniósł kary, bo sąd się nad nim ulitował. Nie chciał skrzywdzić Reny, szukał zemsty na Justinie.

- Justin zapłacił okup?

- Zamierzał, ale ostatecznie tego nie zrobił. Wychodził, żeby podjąć pieniądze, kiedy zadzwoniła Rena. Jakimś sposobem udało się jej obezwładnić chłopaka. Przyłożyła mu patelnię.

Diana roześmiała się mimo woli.

- Tak?

- Owszem - zawtórował jej Caine. - Jest silniejsza, niż mogłoby się wydawać.

- Co się stało z chłopakiem?

- Jego proces ma się zacząć pod koniec miesiąca. Rena opłaciła mu adwokata.

Na twarzy Diany pojawił się gniew przemieszany z podziwem.

- Justin wie o tym?

- Oczywiście.

Milczała przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszała.

- Nie wiem, czy byłoby mnie stać na podobną wielkoduszność.

- Justin raczej się pogodził z decyzją Reny, niż ją zaaprobował, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Dla niego najważniejsze było to, że wyszła cało z opresji. Ja w pierwszej chwili życzyłem szczeniakowi, żeby go zamknęli na pięćdziesiąt lat.

Diana przechyliła lekko głowę i zerknęła na Caine'a.

- I pewnie tyle by dostał, gdybyś ty był oskarżycielem. Czytałam niektóre protokoły ze spraw, w których brałeś udział. Potrafisz być bezwzględny.

- Owszem - przyznał bez ceregieli.

- Dlaczego nie ubiegałeś się ponownie o urząd prokuratora stanowego?

- Powiedzmy, że polityka jest zbyt złożoną grą - powiedział i uśmiechnął się do własnych myśli.
- Mam wrażenie, że też zdążyłaś to zauważyć, pracując w kancelarii Barclay, Stevens & Fitz.

- Barclay jest sztywny i zasadniczy, zupełnie jak adwokat z powieści Dickensa. Droga panno

Blade - tu ściszyła głos, usiłując nadać mu starcze, zrzedliwe brzmienie. - Proszę nie zapominać, że reprezentuje pani firmę. Nigdy nie należy spierać się z sędzią ani podnosić głosu w sali sądowej.

Caine objął ją ramieniem.

- A spiera się pani z sędziami, panno Blade?

- Często. Gdyby cioteczka Adelaide nie była przyjaciółką od serca żony Barclaya, dawno już wyleciałbym na bruk. A tak przenoszę papiery z biurka na biurko.

- Po co tam jeszcze tkwisz?

- Posiadam niezmierzone podkłady cierpliwości - oznajmiła, przytulając się do niego bezwiednie. Miło było czuć jego bliskość. - Ciotka początkowo nie była zbyt zachwycona, że wybrałam prawo, ale potem zrobiła wszystko, żeby umieścić mnie u Barclaya. - Wolała nie dodawać, że w zamian ciotka długo jej to wypominała. - Cieszy ją, że pracuję w znanej, szacownej firmie. Jeśli wytrzymam, może w końcu zacząć mi przydzielać poważniejsze sprawy niż wykroczenia drogowe.

- Boisz się jej?

Diana parsknęła śmiechem. Dawno już zapomniała o strachu.

- Ciotki Adelaide? Nie. Ale wiele jej zawdzięczam.

- Tak uważasz? - mruknął Caine bardziej do

siebie niż do Diany. - Mój ojciec zawsze powtarza, że w rodzinie nie istnieją długi wdzięczności.

- Nie zna ciotki Adelaide. Patrz, mewy! - zawołała nagle, wskazując kołujące nad falami ptaki.
- Jedna usiadła dzisiaj na moim balkonie tak blisko, że mogłam jej dotknąć.

Caine zatrzymał się, objął ją mocniej i przygarnął do siebie. Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem schylił usta do jej warg.

Diana z trudem wracała do rzeczywistości. Uniosła ciężkie nagle powieki, a potem głośno zaczerpnęła powietrza.

- To było zupełnie nieoczekiwane - szepnął Caine. Wyciągnął dłoń, by pogłaskać ją po policzku, ale odsunęła głowę. Marszcząc brwi, schował rękę do kieszeni. - Nie sądzisz, że trochę za późno, by chować się za murem, Diano, skoro jego fundamenty zadrżały?

- To nie mur, Caine, to tylko zdrowy rozsądek.
- Wróciła jej już zdolność trzeźwej oceny sytuacji.
- Nie nadaję się na partnerkę w studenckim przedstawieniu pożądania w cieniu bibliotecznych półek.

Nie była pewna, czy dostrzegła w jego oczach irytację, czy rozbawienie.

- Myślałem, że tamta zbrodnia uległa już przedawnieniu.

- Bardzo wątpię, żebyś mógł się zrehabilitować.

- Niech Bóg broni. - Ze śmiechem zdmuchnął płatki śniegu z jej włosów - Twoje miejsce jest na spalonej słońcem prerii, nie tutaj - zmienił nagle temat.

Diana postanowiła nie ulegać zwodniczo ciepłej nucie w jego głosie.

- Moje miejsce jest w salach sądowych Nowej Anglii.

- Tak - przytaknął, przyglądając się Dianie roziskrzonym wzrokiem. - Tam też pasujesz. Może dlatego zaczynasz mnie fascynować.

- Zamiast cię fascynować, wolałabym wrócić do hotelu. Zaraz tu zamarznę.

- Odprowadzę cię - zaofiarował się z taką skwapliwością, że miała ochotę mu przyłożyć.

- Nie musisz - powiedziała, ale Caine już trzymał jej rękę w swojej dłoni.

- Mogę iść dziesięć kroków za tobą albo dziesięć kroków przed tobą. - Kiedy prychnęła gniewnie, spojrzał na nią spod oka. - Nie gniewasz się chyba na mnie o to, że wymieniliśmy przyjacielski pocałunek? W końcu jesteśmy rodziną.

- Ten pocałunek nie był ani przyjacielski, ani rodzinny - sarknęła pod nosem.

- Nie. - Uniósł do ust jej dłoń. - Może powinniśmy spróbować jeszcze raz?

- Nie - ucięła z całą stanowczością, na jaką było ją stać. .

- W porządku - zgodził się Caine nadspodziewanie łatwo. - W takim razie zjedźmy razem śniadanie.

- Nie jestem głodna.

- Jak to dobrze, że nie zeznajesz pod przysięgą - mruknął. - Wczoraj przy kolacji przełknęłaś całe trzy kęsy. No, ale skoro się upierasz, ja zjem śniadanie, a ty napijesz się kawy. Umieram z głodu.

- Nie czekając na odpowiedź, chwycił ją na ręce i ruszył biegiem w stronę hotelu.

Diana ze śmiechem odgarnęła włosy z czoła.

- Puść mnie, idioto.

- Clarke Gable miał więcej szczęścia, Vivien Leigh nie wyzwała go od idiotów.

- Bo to było w domu - przypomniała mu Diana. - Jeśli upuścisz mnie na śnieg, pozwę cię do sądu.

- Jakaś ty romantyczna - skwitował ironicznie, otwierając sobie drzwi ramieniem. - Gdzie te kobiety, które lubiły tracić grunt pod nogami?

- Potłukły się - stwierdziła Diana rzeczowo, usiłując uwolnić się z jego objęć. - Caine, puść mnie wreszcie. Nie wniesiesz mnie chyba do sali restauracyjnej?

- Nie? No, to się przekonamy. - Spojrzał w jej roześmiane oczy i pomyślał, że wiele by dał, żeby częściej widzieć radość na jej twarzy.

- Caine, przestań się wygłupiać, ludzie patrzą

- zniżyła głos, widząc zaciekawione spojrzenia gości.

- Przywykłem do tego. - Pocałował ją w policzek. - Ślicznie wyglądasz, kiedy się daszasz. Proszę stolik dla dwóch osób - zwrócił się do hostessy.

- Oczywiście, panie MacGregor. - Dziewczyna dyskretnie zerknęła na Dianę i natychmiast odwróciła wzrok. - Proszę za mną. Kelnerka zaraz podejdzie. Życzę smacznego.

- Dziękujemy. - Caine z galanterią posadził Dianę na krześle i sam usiadł naprzeciwko niej.

- Zapłacisz mi za to.

- Każdą cenę - zgodził się skwapliwie, rozpinając kurtkę. - Jesteś pewna, że nie chcesz nic poza kawą?

- Najzupełniej. Zawsze uchodzą ci na sucho takie wyskoki?

- Prawie zawsze. A ty zawsze jesteś taka piękna o poranku?

- Nie próbuj mi się przypodobać.

- Nie próbuję. Taki już jestem, sam wdzięk i bezpretensjonalność. - Na dowód posłał szeroki uśmiech kelnerce, która podeszła właśnie do stolika. - Dla mnie naleśniki z bekonem, zapiekane z serem, do tego pieczarki z patelni i kilka grzanek, i kawa dla pani.

- Zawsze tyle jesz na śniadanie? - zainteresowała się Diana, kiedy dziewczyna znikła.

Caine z uśmiechem odchylił się na krześle.

- Lubię dobrze zjeść, kiedy mam po temu okazję. Bywają dni, kiedy od rana do wieczora żłopię tylko kawę, przegryzając wysuszoną kanapką.

- Nadal masz tak dużo pracy jak wtedy, kiedy byłeś prokuratorem?

- Mnóstwo. I bardzo mi to przeszkadza.

- Nie przyjąłeś żadnych aplikantek, które by cię odciążyły?

W odpowiedzi zrobił przesadnie markotną minę.

- Mam tylko jedną sekretarkę, dezorganizowaną miłośniczkę oper mydlanych.

- Musi mieć inne zalety - Diana uśmiechnęła się znacząco i uniosła do ust filiżankę z kawą.

Mimowolnie pomyślał, że ma bardzo piękne dłonie, stworzone do biżuterii. Szkoda, że nie nosiła żadnego pierścionka.

- Żebyś wiedziała. - Oparł łokcie na stole i konspiracyjnie nachylił się ku Dianie. - Ma pięćdziesiąt siedem lat, twardy charakter i pisze na komputerze jak szatan.

- Poddaję się - mruknęła. - Myślałam, że przy twojej reputacji zawodowej masz jedno z lepiej zorganizowanych biur w Bostonie.

- Zostawiam to panom Barclayowi, Stevensowi i Fitzowi. A ty nie lubisz czasami pobrudzić sobie rączek?

- Tak. - Diana z westchnieniem odstawiła filiżankę. - Tak, do diabła. Mogłabym pracować za darmo, gdybym tylko dostała jakąś ciekawą sprawę. Mam dość wykroczeń drogowych - prychnęła. - Muszę w tym tkwić, żeby do czegoś dojść. Świątek prawniczy nie przywita mnie owacją na stojąco, jeśli jutro otworzę własną kancelarię.

- Tego właśnie chcesz? Owacji na stojąco?

- Lubię wygrywać. - W sennych oczach pojawił się niebezpieczny błysk. - Chcę wygrywać. To mój zawód. A ty, dlaczego robisz to, co robisz?

- Mam kłótniawą naturę. - Caine zamyślił się na moment. - Prawo ma wiele odcieni. - Podniósł wzrok na Dianę. - Nie wszystkie oznaczają sprawiedliwość. Ja też lubię wygrywać, ale z poczuciem, że racja była po mojej stronie.

- Nigdy nie broniłeś nikogo, o kim wiedziałeś, że jest winny?

- Każdy ma prawo do obrońcy. Na tym polega prawo. Musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, i wierzyć, że w ostatecznym rozrachunku wygra sprawiedliwość. Nie zawsze tak jest, bo system nie działa, jak powinien. - Caine wzruszył ramionami i upił łyk kawy.

Diana przyglądała mu się z zainteresowaniem.

- Jesteś inny, niż sobie wyobrażałam.

- A jakim mnie sobie wyobrażałaś?

- Myślałam, że jak Barclay będziesz przytaczał

precedensy, wtrącał dla większego efektu łacińskie terminy i twierdził, że prawo wykute jest w granicie.

- A to kretyn.

Diana parsknęła głośnym, niepohamowanym śmiechem.

- Powinnaś częściej się uśmiechać - zauważył Caine. - I nie zastanawiaj się, co należy zrobić, ale rób to, na co masz ochotę.

- Lata treningu - mruknęła zdumiona, że to powiedziała.

- Możesz wyrażać się jaśniej?

- Nie. - Pokręciła głową. - O, niosą twoje śniadanie. Jestem bardzo ciekawa, czy uda ci się zjeść to wszystko.

Caine popatrzył na nią w zamyśleniu. Pociągała go coraz bardziej. Była tajemnicza, krucha i intrygująca. Gotów był podjąć grę i udowodnić jej, że życie nie składa się wyłącznie z ograniczeń i nakazów, a złamanie jakiejś zasady na pewno nie spowoduje, że świat się zawali. Diana Blade jeszcze się o tym przekona.

- Chcesz spróbować? - zapytał, podsuwając jej na widelcu kęs naleśnika.

- Nie dajesz już rady? - zamiast odpowiedzieć, wsunął widelec do jej ust. Przymknęła oczy. - Hmm... dobre.

- Jeszcze?

- Tu jesteście. - Przy stoliku pojawiła się Serena. Cmoknęła w policzek brata, potem Dianę.
- Czy to nie obrzydliwe? - Spojrzała z odrazą na talerz Caine'a. - To niesprawiedliwe, że on w ogóle nie tyje. Dobrze spałaś?

- Tak. Dałaś mi śliczny pokój. - Diana poczuła się trochę nieswojo, patrząc na taką rodzinna zażyłość...

- Zjesz coś? - zapytał Caine, zerkając na Serene.

- Chcesz się ze mną podzielić?

- Nie.

- Trudno. I tak nie mam czasu. Może zajrzysz później do mnie do biura, Diano. Masz już jakieś plany na dzisiejszy dzień?

- Jeszcze nie.

- Możesz skorzystać z siłowni albo obejrzeć kasyno. Oprowadzę cię.

- Dziękuję.

- Za godzinę będę wolna. - Serena spojrzała na brata. - Nie wierz we wszystko, co on mówi - rzuciła na pożegnanie i szybko odeszła.

- Twoja siostra... - zaczęła Diana. Ze śmiechem przełknęła podsunięty przez Caine'a kawałek bekonu i podjęła na nowo: - Twoja siostra też jest inna, niż sobie wyobrażałam.

- Zawsze wyobrażasz sobie ludzi, których masz poznać?

- Chyba tak. Jak każdy, nie sądzisz?

Caine wzruszył tylko ramionami i zajadał dalej.

- Jak sobie wyobrażałaś Renę?

- Myślałam, że będzie... - zawahała się w poszukiwaniu odpowiedniego słowa - mniej krucha. Jej siłę dostrzega się dopiero przy bliższym poznaniu. Poza tym jeszcze nie przyzwyczaiałam się do myśli, że Justin jest żonaty.

- Prawie go nie znasz - zauważył Caine cicho.

- Jak miałam go poznać? - najeżyła się Diana.

Irytujące, jak szybko i łatwo potrafiła chować się w swojej skorupie, pomyślał Caine.

- Wystarczy chcieć.

- Żeby udzielać pouczeń, trzeba wiedzieć, o czym się mówi - odcięła się Diana. - Miałaś spokojne, szczęśliwe, poukładane dzieciństwo. Wiedziałaś, gdzie jest twoje miejsce. Nie masz prawa analizować moich uczuć i wygłaszać krytycznych sądów.

Caine zapalił papierosa i odchylił się na krześle.

- A robię to?

- Myślisz, że łatwo zapomnieć o latach lekceważenia, o braku zainteresowania? Kiedyś bardzo potrzebowałam Justina, teraz wcale.

- Dlaczego więc przyjechałaś?

- Żeby rozprawić się raz na zawsze z przeszłością. - Odsunęła gniewnym gestem pustą filiżankę. - Chciałam zapomnieć o chłopcu, którego no-

szę w pamięci, uwolnić się od wspomnień i nigdy już do nich nie wracać.

Caine wypuścił kłęb dymu.

- Nie udawaj, Diano, że nic innego cię nie obchodzi. Mnie nie oszukasz. Widziałem, co się z tobą wczoraj działo.

- Rozkleiłam się. To wszystko.

- I jesteś zła na siebie za tę chwilę słabości, tak? - Próbowала wstać, ale Caine chwycił ją za rękę. - Jeśli chcesz wygrać, Diano, nie możesz uciekać.

- Nie uciekam.

- Uciekasz od chwili, kiedy wysiadłaś z samolotu. Prawdopodobnie uciekasz od dawna. Czujesz się skrzywdzona, zagubiona, ale jesteś tak uparta, że nie przyznasz się do tego nawet przed samą sobą.

- To nie twoja sprawa - wycodziła przez zęby.

- MacGregorowie bardzo poważnie traktują sprawy rodzinne. - Caine zmrużył oczy. - Skoro Justin ożenił się z Sereną, jesteśmy rodziną.

- Nie chcę twoich braterskich rad - stwierdziła z naciskiem.

Cain z uśmiechem przesunął kciukiem po wnętrzu jej dłoni.

- Nie mam dla ciebie braterskich uczuć. Oboje o tym doskonale wiemy.

Diana zmierzyła go zimnym spojrzeniem i wstała od stolika.

- Wolałabym, żebyś nie miał dla mnie żadnych uczuć.

Caine zaciągnął się leniwie papierosem.

- Za późno - mruknął i znowu się uśmiechnął.
- Szkoci to ludzie praktyczni, twardo stąpający po ziemi, ale ja właśnie zacząłem wierzyć w przeznaczenie.

- W języku Ute - Diana zmierzyła go gniewnym wzrokiem - „Komańcze” znaczy „wrogość”. Nie ulegamy łatwo. - Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Caine z uśmiechem zgasił papierosa. Zapowiadała się ciekawa walka.

ROZDZIAŁ TRZECI

W ciągu kilku następnych dni Diana miała okazję przekonać się, że Comanche to dobry hotel, któremu nawet ciotka Adelaide nie mogłaby nic zarzucić. Jedzenie, obsługa, wystrój wewnątrz, wszystko to świadczyło o trosce o dobre samopoczucie gości, bogatych, zadowolonych z życia i swojej pozycji społecznej. Justin zaczynał od zera, ale udało mu się zajść wysoko. Budziło to w Dianie szacunek, ale nic ponadto. Wołała zachować dystans.

Justin był wobec niej uprzedzająco uprzejmy, ale ostrożny, tak jak i ona. Chociaż się przed tym broniła, nie mogła nie zauważyć jego silnej woli, przenikliwości i uwagi, z jaką traktował żonę. Gdyby nie nagromadzony przez lata żal, byłaby z niego dumna.

Caine'a unikała. Powiedziała mu o sobie zbyt wiele i teraz tego żałowała. Najchętniej wymazałaby z pamięci poranek na plaży, kiedy dała się ponieść namiętności i pozwoliła, by ją całował. Powtarzała sobie, że powinna panować nad sobą

i wytrzymać jakoś te kilka dni. Już wkrótce wróci do Bostonu i swojej pracy, a wtedy odzyska spokój.

Mimo wszystko cieszyła się, że przyjechała do Comanche. Spotkanie z Justinem zamykało pewien rozdział w jej życiu, pozwalało wreszcie odebrać się od przeszłości. Polubiła także Serenę. Pierwszy raz w życiu miała kogoś, kogo mogła uważać za przyjaciółkę.

Postanowiła pójść na spacer, ale wcześniej chciała jeszcze zajrzeć do biura Sereny. Zamyślona wkroczyła do holu i omal nie zderzyła się z bratem.

- Diana. - Justin odruchowo wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, ale szybko opuścił dłoń, zawstydzony poufałością tego gestu. Jaka ona śliczna, pomyślał i serce mu się ścisnęło na widok jej zdawkowego uśmiechu. Nigdy się do niej nie zbliży. Zrozumiał to, ledwie ją zobaczył.

- Dzień dobry, Justinie. Chciałam właśnie zajrzeć do Reny, o ile nie jest zbyt zajęta. - Jakże on ma zimne spojrzenie, przemknęła jej przez myśl. Dziwne, ale właśnie zielone oczy podkreślały jeszcze jego indiańską urodę.

- Coś się stało, Diano? - Justin uniósł lekko brwi, widząc zamyśloną minę siostry.

- Nie. Po prostu przypomniałam sobie opowieść o tym, jak nasza prababka po kądzieli wzięła

do niewoli osadnika. Czy to nie dziwne, że to po nim z pokolenia na pokolenie ktoś w rodzinie dziedziczy zielone oczy?

- Ty masz oczy ojca - mruknął Justin.

- Nie pamiętam go - ucięła Diana chłodno, zła, że dała się ponieść wspomnieniom. Miała wrażenie, że Justin westchnął, ale nie potrafiła wyczytać żadnych uczuć z jego nieprzeniknionej twarzy.

- Powiedz Serenie, że wychodzę i wrócę za jakieś dwie godziny. Mam spotkanie w mieście.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że tak gwałtownie skończyła rozmowę.

- Justin. Nie wiedziałam o procesie, o twoim aresztowaniu. Tak mi przykro.

- Stare dzieje. - Wzruszył ramionami. - Byłaś wtedy jeszcze dzieckiem.

- Przestałam być dzieckiem, kiedy zostawiłeś mnie samą. - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i weszła do biura Sereny.

- Witaj, Diano. - Serena z uśmiechem odłożyła na bok plik papierów. - Błagam, powiedz, że koniecznie potrzebujesz towarzystwa, żebym mogła na chwilę oderwać się od tego nudziarstwa.

- Bałam się, że ci przeszkodzę.

- Są dni, kiedy modłę się, żeby mi przeszkadzano. - Serena zmarszczyła czoło. - Co się dzieje, Diano?

- Nic. - Diana spojrzała na lustrzaną szybę, przez którą można było podglądać, co się dzieje w kasynie. - Nie umiałabym tu pracować. Miałabym ciągle wrażenie, że jestem na przyjęciu.

- To kwestia koncentracji. Ja się już nauczyłam.

- Justin prosił, żeby ci powtórzyć, że jedzie do miasta i wróci za dwie godziny.

A więc o to chodzi, pomyślała Serena. Podeszła do Diany i położyła jej ręce na ramionach.

- Porozmawiaj ze mną, Diano. To, że jestem żoną Justina, nie oznacza, że nie rozumiem, co czujesz.

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać. - Diana pokręciła głową. - Wracam do przeszłości, przypominam sobie szczegóły, o których nie chcę pamiętać. Nie przypuszczałam, że nadal go kocham. To boli, Reno.

- Skoro go kochasz, daj sobie trochę czasu.

- Kocham Justina, ale mam do niego ogromny żal o każdy dzień spędzony bez niego.

- Przecież on był w takiej samej sytuacji, nie widzisz tego?

- Nie. On mógł dokonać wyboru, a ja nie. - Wstała i zaczęła krążyć po gabinecie. - Zostawił mnie ciotce i wyjechał.

- Miałaś sześć lat, on szesnaście. - Serena usiłowała zachować lojalność wobec obydwu stron. - Czego od niego oczekiwałaś?

- Przepadł bez śladu. Nie dzwonił, nie pisał. Nie odezwał się ani razu. Czekałam. Wierzyłam, że jeśli będę posłusznym dzieckiem, Justin wróci. Łudziłam się, a on najzwyczajniej w świecie o mnie zapomniał.

- To nieprawda! - obruszyła się Serena. - Nic nie rozumiesz.

- To ty nic nie rozumiesz. Nie wiesz, co znaczy stracić wszystko i żyć na czyjeś łasce! Mieć świadomość, że każdy kęs, który przełykasz, każda rzecz, którą zakładasz na grzbiet, ma swoją cenę.

- Jak ci się wydaje, komu zawdzięczasz wikt i opierunek? - zapytała Serena.

- Doskonale wiem, komu wszystko zawdzięczam. Ciotka Adelaide nigdy nie pozwoli mi o tym zapomnieć. Nie wierzy w bezinteresowną hojność.

- Hojność? - uniosła się Serena. - Tyle wie o hojności, co i ty.

- Być może, ale to ona dała mi wszystko.

- Nic ci nie dała. Za wszystko płacił Justin. - Serena nie panowała już nad sobą. - Od chwili wyjazdu z domu do momentu, kiedy skończyłaś studia, miesiąc w miesiąc wysyłał jej czek. Sobie nic nie zostawiał. Ciotka zgodziła się zaopiekować tobą pod warunkiem, że Justin zniknie i nigdy nie będzie próbował kontaktować się z tobą. Płacił, cały czas płacił i tego, co zapłacił, nie da się przeliczyć wyłącznie na pieniądze, Diano.

Diana zeszywniała.

- Justin płacił? - zapytała cichym, zwodniczo opanowanym głosem. - Wysyłał ciotce Adelaide pieniądze?

- Nic innego nie mógł ci dać. Do diabła, jesteś przecież prawnikiem i zdajesz sobie chyba sprawę, co by się z tobą stało, gdyby nie przekonał ciotki, żeby cię wzięła do siebie?

Dom dziecka albo rodzinna zastępcza, pomyślała mechanicznie Diana, ciągle jeszcze oszołomiona tym, co usłyszała.

- Nim też powinna była się zaopiekować.

Serena spojrzała przeciągle na Dianę.

- Naprawdę w to wierzysz?

Diana ukryła twarz w dłoniach. Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej głowa. Z westchnieniem opuściła ręce.

- Nie, nie wierzę. Mógł się do mnie odezwać, kiedy byłam starsza.

- Uznał, że lepiej ci będzie w Bostonie. Nie chciał ciągać cię ze sobą po całym kraju. Justin wybrał własne życie, to prawda, ale zrobił to przez wzgląd na ciebie. Inaczej nie potrafił się tobą opiekować.

- Dlaczego nic mi nie powiedział?

- Po co? Żebyś mu dziękowała? - zapytała Serena zniecierpliwionym tonem. - Nie widzisz, jakim jest człowiekiem? Będzie miał do mnie pre-

tensje, że się wygadałam. Nie powinnam była - dodała już spokojniej i dopiero teraz zauważyła rozszerzone, nieruchome oczy Diany i jej bladość. Wyciągnęła dłoń. - Diano.

- Nie. - Odsunęła się, uchylając przed dotykiem. - Więc to wszystko prawda? - zapytała martwym głosem.

- Po co miałabym cię okłamywać?

Diana zaśmiała się głucho.

- Wcale bym się nie zdziwiła, skoro wszyscy mnie okłamywali, przez całe życie.

- Chodź, zaprowadzę cię na górę, do twojego pokoju i zrobię ci drinka.

- Nie. - Diana podeszła do drzwi. - Dziękuję, że mi powiedziałaś, Reno - powiedziała chłodno. - Powinnam była to wiedzieć.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Serena opadła na fotel. Dlaczego nie okazała więcej delikatności? Miała ochotę biec za Dianą, ale po chwili uznała, że lepiej zostawić ją teraz samą. Poza tym była pewnie ostatnią osobą, którą tamta chciałaby teraz widzieć. Przygryzając wargę, podniosła słuchawkę telefonu.

- Proszę wysłać wiadomość na pager Caine'a MacGregora.

Minęła godzina, a Diana ciągle nie mogła się uspokoić. W głowie kołatały jej sprzeczne myśli

i emocje. Wszystko, w co dotąd wierzyła, okazało się fałszem. Była największą niewdzięcznicą, bo za to, co zrobił dla niej Justin, zapłaciła pretensjami i urazą. Nie wiedziała, jak teraz zdoła spojrzeć mu w oczy. Musi się z nim zobaczyć, a później natychmiast wyjedzie, postanowiła w końcu.

Wyjęła walizki i zaczęła się pakować, powoli, metodycznie, jakby w ten sposób chciała zapomnieć o swoich problemach. Być może zanim skończy, przestanie boleć ją głowa, ustąpi ucisk w żołądku. Może nie będzie czuła się tak kompletnie zagubiona.

W pierwszej chwili zignorowała pukanie do drzwi, zareagowała dopiero za drugim czy trzecim razem.

- Caine. - Stała bez ruchu w progu, nie zamierzając wpuścić nieproszonego gościa. Cofnęła się dopiero, kiedy zrobił krok na przód. - Jestem zajęta.

- Nie będę ci przeszkadzał - oznajmił z niezmaconym spokojem. - Zawsze lubiłem widok rozpościerający się z okien tego pokoju.

- Podziwiał go sobie, bardzo proszę. - Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do sypialni z twardym zamiarem dokończenia pakowania.

- Zmiana planów? - Caine stał oparty o framugę drzwi.

- Chyba widzisz. - Diana złożyła starannie sweter i włożyła go do walizki. - Rena musiała powiedzieć ci o naszej porannej rozmowie.

- Podobno bardzo się zdenerwowałaś.

- O wszystkim wiedzieliście - oskarżyła go głosem wypranym z emocji. - Ukrywaliście przede mną, że Justin cały czas wysyłał ciotce pieniądze.

- Rena powiedziała mi dopiero po tym, jak wysłała do ciebie list z zaproszeniem. Justin nigdy nie zdradził się ani słowem. - Caine podszedł do łóżka i musnął palcami przygotowaną do spakowania jedwabną suknię. - Dlaczego uciekasz, Diano?

- Nie uciekam.

- Pakujesz się.

- Te dwa słowa nie są synonimami - zauważyła chłodno. - Justin odetchnie, kiedy wyjadę.

- Skąd ten pomysł?

Diana zatrzasnęła z impetem wieko większej walizki.

- Odsuń się - burknęła.

Caine patrzył na nią uważnie. Widział, że zamiast dać upust kłębiącym się w niej emocjom, za wszelką cenę usiłuje je opanować. Będzie musiał nauczyć ją, jak wyrażać uczucia.

- Na kogo się wściekasz?

- Nie wściekam się! - Diana z furią zatrzasnęła drzwi szafy, z której wcześniej wyjęła kilka rzeczy - Kłamstwa, same kłamstwa. Przez całe lata ciotka pozwalała mi wierzyć w swoją dobrą wo-

łę, w swoje poczucie rodzinnych zobowiązań. Zmuszała mnie do robienia rzeczy, których nienawidziłam. Godziłam się na wszystko, bo się jej bałam. Bo miałam wobec niej dług wdzięczności. A tymczasem to Justin cały czas łożył na moje utrzymanie. - Nerwowo mięła ubrania, które przyciskała do piersi. - Nigdy o nim nie wspominała. Chciała, żebym wymazała z pamięci pierwszych sześć lat mojego życia, żebym zapomniała o swoim pochodzeniu. Zabrała mi przeszłość, a ja ciągle żyłam w przekonaniu, że powinnam być jej wdzięczna. Kiedy mój brat siedział w więzieniu, ja brałam lekcje baletu i jadałam na sewrskiej porcelanie.

Caine zrobił krok w jej stronę.

- Chciał, żebyś miała wszystko. Tego nie bierzesz pod uwagę?

- Nie! - Diana cisnęła ubrania, gdzie popadło. Część wylądowała na łóżku, reszta upadła na podłogę. - Całe życie miałam do niego żal i zabiegałam o względy kobiety, która nigdy nie potrafiła zaakceptować mnie taką, jaką naprawdę jestem. A teraz okazuje się, że nie mam wobec niej żadnych zobowiązań, nic jej nie zawdzięczam. Wszystko się poplątało.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne, skąd płynęły pieniądze? - zapytał Caine po chwili milczenia.

- To nie ma znaczenia tylko dla kogoś, kto ma do nich prawo.

Caine chwycił Dianę za ramiona i mocno nią potrząsnął.

- Jesteś pomyłona. Dowiedziałaś się, że ciotka nie była z tobą zupełnie szczerą i że twój brat łożył na twoje utrzymanie. Co to zmienia?

- Byłam przez cały czas oszukiwana!

- Teraz znasz już prawdę.

Diana kurczowo zacisnęła palce na koszuli Caine'a.

- Byłam wobec niego okropna. Zimna jak lód. Nie wykonałam żadnego gestu, który pomógłby nam się zbliżyć.

- Możesz to naprawić.

- Nie. - Uwolniła się z jego ramion i zaczęła zbierać leżące na podłodze rzeczy. - Chcę z nim porozmawiać, jak tylko trochę ochłoneę. Zawsze pojawiaasz się akurat wtedy, kiedy jestem wytrącona z równowagi. I wcale mi się to nie podoba.

- Mnie również - mruknął, obracając Dianę twarzą ku sobie. - Jesteś piękna, kiedy się złościysz.

- Przesunął lekko palcem po jej ustach.

- Przestań.

Mogła go powstrzymać. Mogła mu powiedzieć, żeby natychmiast wyszedł z jej pokoju. Miała jeszcze w sobie dość siły, żeby to zrobić, ale jego usta były tak blisko. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie jego głowę.

Odzyskała zdolność myślenia dopiero, kiedy oderwał usta od jej warg i szepnął:

- Pragnę cię. Tutaj, teraz.

- Nie. Nie jestem na to gotowa. Nie z tobą. - Uwolniła się z jego objęć. - Nie wiem, co czuję. Wszystko dzieje się zbyt szybko, ale i tak nie zamierzam być kolejną zdobyczą Caine'a MacGregora.

Caine zmrugał oczy, które stały się teraz niczym błyszczące szparki.

- Ciągłe tak będziesz szufladkowała ludzi? - wycedził przez zęby.

- Chcę na powrót uporządkować swoje życie, a nie komplikować je jeszcze bardziej.

- Komplikować, tak? - powtórzył z przekąsem. - W porządku, rób, co chcesz, ale pamiętaj, Boston jest mały, a sprawa nadal otwarta.

- Grozi mi pan, mecenasie? - zapytała, siląc się na spokój.

- Potraktuj to raczej jako obietnicę. - Uniósł jej brodę, pocałował w usta, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Tego tylko brakowało, pomyślała, spoglądając na porzrzućane ubrania. Zawsze starała się trzymać mężczyzn na dystans. Caine wykorzystał fakt, że była roztrzęsiona, inaczej nigdy nie pozwoliłaby mu tak bardzo zbliżyć się do siebie.

Nie będzie się teraz nad tym zastanawiała. Zamknęła oczy, czekając, aż minie pierwsze wzbu-

rzenie. Nie obawiała się spotkania w Bostonie. Tak czy inaczej poradzi sobie z MacGregorem. Teraz czekało ją o wiele ważniejsze zadanie. Przed wyjazdem musiała jeszcze porozmawiać z bratem.

Stanąła przed drzwiami apartamentu Justina i Sereny, wzięła głęboki oddech i zapukała. Otworzył jej Justin, z mokrymi włosami i koszulą przerzuconą przez ramię. Przed chwilą musiał wyjść spod prysznic.

- Diana? Szukasz Sereny?

- Nie, ja... - Jej wzrok padł na długą białą bliznę na piersi brata. - Mogę wejść?

- Oczywiście. Napijesz się czegoś? Kawy? Może wolisz drinka?

- Nie, dziękuję. - Stała na środku pokoju, kurczowo zaciskając palce.

- Siadaj, Diano.

- Nie, ja tylko... chciałam przeprosić za wszystko, co zrobiłam i powiedziałam od chwili swojego przyjazdu tutaj.

Justin z kamienną twarzą zapiął koszulę. Potrafi nad sobą panować, pomyślała. Dlatego jest takim dobrym hazardzistą.

- Nie masz za co przepraszać, Diano - powiedział wreszcie. - Nie oczekuję od ciebie ani przeprosin, ani uczuć.

- Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- Nic mi nie jesteś winna.

- Wszystko ci zawdzięczam - sprostowała. - Powinieneś był mi powiedzieć! - wybuchnęła. - Miałam prawo wiedzieć.

- Wiedzieć co? - zapytał obojętnie.

- Przestań bawić się ze mną w ciuciubabkę!— zawołała, chwytając go za gors koszuli.

Justin lekko uniósł brwi i spokojnie popatrzył na jej zagniewaną twarz.

- Zawsze byłeś dzieciakiem - mruknął. - Przestań zachowywać się, jakbyś ciągle miała sześć lat. Spróbuj ochłonać i powiedz wreszcie, o co ci chodzi. Mam wrażenie, że nosisz się z tym od dnia przyjazdu.

Diana wzięła głęboki oddech. Przyszła tutaj, żeby go przeprosić, a nie wszczynać awantury.

- Przez te wszystkie lata miałam do ciebie żal, próbowałam nawet znienawidzić cię za to, że o mnie zapomniałeś.

- Potrafię to chyba zrozumieć.

- Nie, nie potrafisz. - Łzy ciekły jej po policzkach, ale nie próbowała ich nawet ocierać. Głos jej drżał. - Nie wiesz, co czułam. Straciłam wszystko tak nagle. Wszyscy odeszli. Początkowo myślałam, że to moja wina, bo byłam niedobra.

Justin uniósł dłoń i pogładził siostrę po głowie. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat.

- Nie wiedziałem, jak ci wytłumaczyć to, co się stało. Byłaś taka mała.

- Dopiero teraz rozumiem - łkała. - Wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Było potrzebne - przerwał jej stanowczym tonem. - Po prostu.

- Nie mów tak. Ja... chciałam podziękować. Miałeś prawo być na mnie zły, ale...

- Nie uczyniłem nic takiego, za co miałabyś mi dziękować.

Diana przygryzła wargi.

- Czułeś się zobowiązany - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

- Nie. - Znowu pogłaskał ją po głowie, ledwie muskając włosy opuszkami palców. - Kochałem cię.

Rozchyliła usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Justin ofiarowywał jej miłość. Nie chciał wdzięczności. Nie powinien widzieć łez. Ujęła jego dłoń.

- Bądź moim przyjacielem.

Justin poczuł ogromną ulgę. Podniósł jej dłoń do ust.

- W naszych żyłach płynie jedna krew, siostrzyczko. Zawsze cię kochałem. Od tej chwili będziemy przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Diana włączyła ogrzewanie na pełną moc, ale nawet to niewiele pomagało. Wiedziała, że przy tym mrozie samochód nie rozgrzeje się, zanim dojedzie do restauracji, w której umówiła się na kolację z Mattem Fairmanem, zastępcą prokuratora okręgowego.

Gratulowała sobie w duchu tego posunięcia, choć wolałaby spędzić wieczór w domu, zwinięta w kłębek na kanapie z filiżanką gorącej herbaty. Cóż, kariera wymaga niekiedy poświęceń i Diana nie mogła pozwolić sobie na odrzucenie zaproszenia człowieka o takich koneksjach jak Matt, nawet jeśli zdawała sobie sprawę, że kolacja będzie miała bardziej prywatny niż zawodowy charakter.

Przecież Matt jest naprawdę dobrym prawnikiem, powtarzała sobie w myślach, usiłując zagłuszyć wyrzuty sumienia. Tak, jest dobrym prawnikiem, doskonale przy tym orientuje się we wszystkich aktualnie toczących się w okręgu bostońskim procesach. Poza tym nigdy nie potrafił utrzymać języka za zębami i uwielbiał plotki. Wystar-

czyło, by zwierzyła mu się ze swoich zamiarów, a mogła mieć gwarancję, że wiadomość rozejdzie się po mieście szybciej i będzie komentowana szerzej, niż gdyby zamieściła całostronicowe ogłoszenie w „Boston Globe”.

W tydzień po powrocie z Atlantic City złożyła w pracy wypowiedzenie. W ten sposób uniezależniała się nie tylko od szacownej kancelarii, ale też od ciotki i jej wpływu na swoje życie. Bała się, to prawda, w końcu firma Barclay, Stevens & Fitz oznaczała bezpieczeństwo i stabilizację, ale ani przez moment nie żałowała swojej decyzji.

W chwilach paniki wyobrażała sobie, że dzieli biuro z inną młodą, dopiero zaczynającą prawniczką i czeka w nieskończoność na telefon od klienta, gotowa przyjąć każdą sprawę, choćby to było wykroczenie drogowe. Kiedy miała lepszy dzień, optymizm brał górę i zaczynała wierzyć, że wspinając się powoli po stopniach kariery, dotrze jednak na szczyt.

Jeśli czegoś żałowała, to tylko tego, że tak mało czasu spędziła z Justinem. Uznała jednak, że pogodzona z bratem, powinna czym prędzej wrócić do Bostonu i uporządkować swoje sprawy zawodowe. Bała się, że zacznie się zastanawiać, rozważając wszystkie możliwe konsekwencje, a tymczasem musiała szybko podejmować decyzje, dopóki poczucie zdrady było na tyle bolesne, by popychać ją do działania.

Był i inny powód przyspieszenia wyjazdu z Atlantic City - Caine MacGregor. Niepewna własnych reakcji, po ostatnim epizodzie wolała trzymać się od niego z daleka. Za bardzo ją interesował, zbyt wiele uśpionych, niebezpiecznych emocji w niej budził. W najbliższych miesiącach całą energię i czas powinna poświęcić tworzeniu własnej kancelarii. Nie miała czasu myśleć o czymkolwiek innym. Musiała znaleźć odpowiedni lokal na biuro i poszukiwać klientów. Mogła liczyć tylko na siebie i własne, żałośnie skromne zasobny finansowe.

Nie chciała ruszać pieniędzy z funduszu powierniczego ustanowionego dla niej przez ciotkę, a raczej przez Justina, poprawiła się w myślach. W każdym razie obiecała sobie, że nie tknie grosza z pieniędzy, których sama nie zarobiła.

Kiedy bez trudu znalazła miejsce na zatłoczonym parkingu, uznała to za dobry znak. Jeśli bardzo będzie tego chciała, wszystko potoczy się zgodnie z planem.

Kuląc się z zimna, szybko weszła do restauracji.

- Diana Blade. Czy pan Fairman już jest? - zwróciła się do maitre d'hotel.

Ten spojrział na listę gości.

- Nie, jeszcze nie, panno Blade.

- Kiedy się pojawi, proszę mu powiedzieć, że czekam na niego w barze.

Po chwili z westchnieniem ulgi usiadła w głębokim skórzanym fotelu w pobliżu trzaskającego wesoło na kominku ognia. Zerknęła na zegarek. Biorąc pod uwagę pogodę i korki, zdąży spokojnie wypić drinka, zanim Matt do niej dołączy. Zamierzała właśnie przywołać kelnera, kiedy ten pojawił się jak spod ziemi z wózkiem barowym. Wprawnym ruchem wyjął butelkę szampana z wiaderka. Wyborny rocznik, pomyślała Diana z niejakim żalem.

- Przepraszam, ale musiał się pan pomylić, to nie moje zamówienie.

- Tamten pan prosił, żeby podać pani szampana.

- Tak? - Odwróciła głowę.

Podniecenie, które poczuła na jego widok, niewiele miało wspólnego z irytacją. Czy nie powiedział jej, że Boston to małe miasto?

- Witaj, Caine.

- Jak się masz, Dianko? - Uniósł do ust jej dłoń.

- Mogę się przysiąść?

- Chyba powinieneś. - Wskazała na butelkę szampana i dwa kieliszki.

- Jesteś sama?

Diana upiła łyk szampana, rozkoszując się jego smakiem. Zapomniała już o chłodzie panującym na zewnątrz.

- Umówiłam się z Mattem Fairmanem. Chyba go znasz?

- Tak - przytaknął Caine z nieznacznym uśmiechem. - Znam go. Chcesz po odejściu od Barclaya podjąć pracę u prokuratora okręgowego?

- Nie, ja... - Przerwała raptownie. - A ty skąd wiesz, że odeszłam od Barclaya?

- Pytałem o ciebie. Co teraz zamierzasz?

Diana milczała przez chwilę, po czym rzuciła lekkim tonem:

- Zamierzam otworzyć własną kancelarię.

- Kiedy?

- Im szybciej, tym lepiej. Jak tylko uporam się z kilkoma drobiazgami.

- Masz już biuro?

- To właśnie jeden z tych drobiazgów. - Marszcząc czoło, Diana przesunęła palcem po brzegu kieliszka. Wolałaby nie rozmawiać z Cainem o swoich kłopotach. - Nie przypuszczałam, że znalezienie dobrego lokum za rozsądną cenę może być takie trudne. Mam trzy oferty, które sprawdzę jutro.

- Być może mógłbym ci pomóc. Jest do wynajęcia biuro po drugiej stronie rzeki, kilka przystanków metra od sądów.

Caine upił łyk szampana. Martwił się o Dianę. Przejmował się jej losem bardziej, niż by sobie tego życzył. Nie był pewien, czy poradzi sobie sama w Bostonie po tym, jak postanowiła zerwać z ciotką Adelaide. Szczególnie zaniepokoiła go

wiadomość, że zrezygnowała z pracy w kancelarii Barclaya.

- W piętrowym, starym domu - mówił dalej.
- Niedawno wyremontowanym. Jest recepcja, niewielka sala konferencyjna, kilka pokoi biurowych.

- Brzmi wspaniale. Ciekawe, dlaczego mój pośrednik nic o nim nie wiedział. - Może wiedział, pomyślała, unosząc kieliszek, ale znał też jej możliwości finansowe. Zaraz się okaże, że czynsz jest zawrotny. - Skąd wiesz o tym biurze?

- Znam właściciela. - Caine z nieprzeniknioną miną nalał szampana do obydwu kieliszków.

Coś ją tknęła. Przyjrzała mu się uważniej.

- Ty jesteś właścicielem.

- Za twoją przenikliwość. - Caine uniósł kieliszek.

Nie była w nastroju do żartów, choć on najwyraźniej świetnie się bawił.

- Dlaczego sam nie korzystasz z tego biura, skoro jest takie wspaniałe?

- Korzystam. Do twarzy ci w tym kolorze, Diano.

Zniecierpliwiona, zaczęła bębnić lekko palcami w oparcie fotela.

- Gdzie tu miejsce na moją kancelarię?

- Mam zbyt wiele spraw. Nie daję sobie rady, część klientów muszę odprawiać z kwitkiem.

- Tak?

- Zainteresowana?

Diana ściągnęła brwi.

- Twoimi klientami?

- Nie, to byliby twoi klienci.

Czy jest zainteresowana? Dałaby wszystko, by wreszcie poprowadzić jakąś sprawę z prawdziwego zdarzenia. Miała ochotę rzucić się Caine'owi 'na szyję i wycałować go w obydwie policzki.

- Dziękuję za propozycję, ale nie interesuje mnie spółka - odparła chłodno.

- Mnie również.

Pokręciła głową. Przystawała cokolwiek rozumieć.

- Zatem co proponujesz?

- Chciałbym, żebyś w moim domu otworzyła swoją kancelarię. Mam sporo spraw, które będę musiał albo odrzucić, albo przekazać komuś innemu. Wolałbym przekazać. - Nie potrafił logicznie wyjaśnić, dlaczego właściwie chce je przekazać akurat Dianie. Pewnie dlatego, że należała do rodziny. - To kwestia podaży i popytu.

Diana milczała długą chwilę, rozważając jego propozycję. Caine nie spuszczał z niej oka. Była jeszcze ładniejsza, niż ją zapamiętał. Tęsknił za nią, choć nie widział jej raptem dwa tygodnie.

Po powrocie z Atlantic City wiele razy miał ochotę do niej zadzwonić, ale za każdym razem w ostatniej chwili odkładał słuchawkę. Dopiero

dzisiaj poddał się, pogodzony z myślą, że nie potrafi o niej zapomnieć, ale i tak próbował wmałwiać sobie, że dzwoni do niej wyłącznie ze względu na łączące ich więzy rodzinne.

Z wiadomości, którą zostawiła na automatycznej sekretarce, dowiedział się, gdzie może ją znaleźć. Niewiele myśląc, wsiadł w samochód i przyjechał do restauracji z gotowym planem. Jeśli Diana się zgodzi, będzie mógł widywać ją codziennie.

- Caine. - Głos Diany przywołał go na powrót do rzeczywistości. - Propozycja jest bardzo nęcąca, ale zanim odpowiem, chciałabym zadać ci jedno pytanie.

- Słucham.

- Dlaczego?

Caine zapalił papierosa.

- Dlatego, że jesteśmy rodziną.

- Znowu te twoje zobowiązania rodzinne.

- Powiedziałyby raczej* lojalność - sprostował.

- Przemyśl to. - Wyjął z kieszeni marynarki wizytówkę. - Wpadnij jutro, obejrzysz biura.

Byłaby głupia, gdyby odrzuciła taką okazję.

- Dziękuję. Będę jutro u ciebie. - Kiedy chciała schować wizytówkę, Caine ujął jej dłoń i spojrzął w oczy.

- Podobasz mi się w jedwabiach, z kieliszkiem szampana w ręku, kiedy blask ognia tańczy na

twojej twarzy - mruknął. - Myślałem o tobie, Diano. O tym, jak pachniesz, jak smakujesz.

- Przestań - szepnęła. - Proszę, przestań.

- Chciałbym się z tobą kochać tak długo, aż zapomnielibyś o całym świecie.

- Przestań - powtórzyła, uwalniając dłoń z jego uścisku. Z trudem łapała oddech. - To nie ma sensu.

- Nie? Wręcz przeciwnie, Diano. Ma wielki sens.

Diana uniosła kieliszek i upiła łyk szampana. Już spokojniejsza, spojrzała na Caine'a.

- Potrzebuję biura, żeby otworzyć swoją kancelarię, i potrzebuję klientów. - Wzięła głęboki oddech. - To sprawy czysto zawodowe.

.- Moja propozycja jest propozycją czysto zawodową, pani mecenas - zapewnił z wesołym błyskiem w oku. - To, czy ją przyjmiesz, czy nie, nie będzie miało żadnego wpływu na... - zawiesił głos - rozwój naszej znajomości.

- Nie przyszło ci głowy, że nie chcę żadnego „rozwoju znajomości”? - zapytała uprzejmie.

- Tym bardziej nie powinno ci przeszkadzać, że będziemy pracowali w tym samym budynku. - Caine uśmiechnął się i przesunął wizytówkę w jej stronę. - Nie uwierzę, że się mnie boisz, Diano. Sprawiasz wrażenie bardzo silnej kobiety.

Diana zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

- Nie boję się ciebie, Caine.

- To dobrze - ucieszył się. - Do zobaczenia jutro. Jest już Fairman, zostawiam was samych.
- Cmoknął Dianę w policzek na do widzenia. - Miłego wieczoru, kochanie.

Spoglądając za odchodzącym Caine'em, Diana chwyciła wizytówkę i przedarta ją na pół. Niech go diabli wezmą! Razem z jego biurem i klientami.

Nie, nie boi się go, powiedziała sobie stanowczo. I nie zamierza rezygnować z szansy otwarcia własnej kancelarii tylko dlatego, że Caine MacGregor robi słodkie oczy. Spotka się z nim jutro. Jeśli biuro będzie jej odpowiadać, wynajmie je. Nikt jej nie powstrzyma w realizacji własnych zamierzeń.

Rano sprawdziła dwie oferty z tych, które zaproponował jej pośrednik. Żadna nie wzbudziła jej entuzjazmu. Trzeciego biura wolała już nie oglądać i pojechała prosto do Caine'a.

Dom spodobał się jej od pierwszego wejrzenia. Był stary, o wąskiej fasadzie i eleganckiej, charakterystycznej dla Bostonu sylwecie.

Przy drzwiach widniała niewielka mosiężna tabliczka z napisem: Caine MacGregor, Adwokat. Obok wkrótce mogła się pojawić identyczna z jej nazwiskiem, rozmarzyła się Diana.

W utrzymanej w różowej tonacji recepcji pachniało świeżymi kwiatami, trzaskał ogień na mar-

murowym kominku. Siedząca za biurkiem kobieta przytrzymała słuchawkę telefonu ramieniem i nie przerywając rozmowy, stukała w klawiaturę komputera. Z szerokim uśmiechem wskazała Dianie kanapkę, zapraszając, by usiadła.

- Mecenas nie będzie miał czasu aż do połowy przyszłego tygodnia - powiedziała do telefonu. - Zapiszę panią na przyszły czwartek. - Spod sterty papierzyk zawalających blat biurka wyciągnęła gruby terminarz. - Trzynasta piętnaście - ciągnęła, szukając nerwowo długopisu. - Niestety, pani Patterson, to pierwszy wolny termin. Tak. Zapraszam w czwartek, kwadrans po pierwszej. - Zamknęła kalendarz i wróciła do pisania.

Trochę zdziwiona, Diana zdjęła płaszcz, przrzucała go przez oparcie kanapki.

- Tak, na pewno mu powtórzę. Do widzenia, pani Patterson. - Sekretarka przerwała na moment pisanie, odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Diany. - Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

- Nazywam się Diana Blade.

- Ach, tak. - Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, kobieta podniosła się zza biurka. - Mecenas uprzedził mnie, że może pani dzisiaj przyjść. Jestem Lucy Robinson.

Diana uściśnęła wyciągniętą w jej kierunku dłoń.

- Jest pani taka zajęta. Może przyjdę innym razem.

- Skądże znowu. - Lucy poklepała ją matczynym gestem po ramieniu. - MacGregor ma właśnie klienta, ale prosił, żebym panią oprowadziła. Pójdziemy najpierw na górę, pokażę pani jej biuro.

Zanim Diana zdążyła wytłumaczyć, że to jeszcze nie jest jej biuro, Lucy ruszyła już w kierunku schodów.

- Pani Robinson... - zaczęła niepewnie.

- Proszę mówić mi Lucy. Czujemy się tu jak w rodzinie.

W rodzinie, pomyślała Diana z westchnieniem. Chyba już nigdy nie uwolni się od tego słowa.

- Na dole jest salka konferencyjna i niewielka kuchnia - ciągnęła Lucy. - Nie zawsze mamy czas pójść na lunch, więc kuchnia bardzo się przydaje. Umiesz gotować?

- Nie za bardzo.

- Szkoda. - Lucy zatrzymała się u szczytu schodów. - Caine i ja też nie mamy w tym wprawy. O, tutaj jest gabinet Caine'a, a twój na końcu korytarza.

Ruszyły ku wskazanym przez Lucy drzwiom.

- Śliczny dom - powiedziała Diana z uznaniem. - Caine'owi udało się zachować jego pierwotny charakter. Od dawna u niego pracujesz?

- Od czasu, kiedy był prokuratorem. Odchodząc z urzędu, zapytał, czy chciałabym prowadzić

mu kancelarię, więc spakowałam manatki i odeszłam razem z nim. Proszę, to twój gabinet.

Lucy pchnęła drzwi i odsunęła się, przepuszczając Dianę.

To zbyt piękne, żeby było prawdziwe, pomyślała Diana, wchodząc do środka. Objęła wzrokiem niewielkie, ale nie sprawiające wrażenia ciasnego wnętrza. Dwa wysokie wąskie okna wychodzące na wschód, drewniana, lśniąca podłoga, kominek z białego marmuru, jedwabne tapety, biurko, wiktoriańskie krzesła, półki na książki - wszystko gotowe, wystarczy tylko się wprowadzić.

- Obok jest biblioteka prawnicza i łazienka. Toaleta na dole. O, przepraszam, telefon dzwoni. Rozejrzyj się, muszę wracać do pracy. - Wybiegła, zanim Diana zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Diana omiotła raz jeszcze spojrzeniem przytulne wnętrza, wyszła na korytarz i otwierając na chybił trafił pierwsze drzwi, znalazła się w bibliotece Caine'a.

Nie gorzej wyposażona niż ta w kancelarii Barclaya, pomyślała z uznaniem, wodząc dłonią po grzbietach książek. Kilka tomów leżało na stole, jeden otwarty na opisie głośnej w latach siedemdziesiątych sprawie Sylvana. Diana pamiętała ją jeszcze ze studiów. Pochyliła się nad książką i zaczęła czytać.

Tak zastał ją Caine, kiedy kilka minut później wszedł do biblioteki.

- Co cię tak zainteresowało?

Diana szybko uniosła głowę.

- Sprawa Sylvana. Fascynująca. Obrońca dokonywał prawdziwych cudów.

- O'Leary jest wielki, choć czasami trochę przesadza. - Oparł się nonszalancko o framugę drzwi.

- Dwa razy odwoływał się od wyroku niższej instancji, ale w końcu przegrał.

- Jego klient był winny, nie dało się podważyć oskarżenia.

Diana przesunęła dłonią po książce.

- Prowadzisz podobną sprawę czy czytasz dla przyjemności?

- Virginia Day - rzucił krótko i z uśmiechem czekał na reakcję.

W oczach Diany zabłysło niekłamane zainteresowanie.

- Jesteś jej obrońcą?

- Owszem.

Diana słyszała trochę o tej sprawie. Dotyczyła zabójstwa w tak zwanych wyższych sferach. Zazdrosna żona zastrzeliła swego niewiernego męża.

- Nie wybierasz sobie łatwych spraw.

Za całą odpowiedź Caine wzruszył ramionami.

- Lucy pokazała ci podobno twój gabinet.

- Biura są imponujące. O wiele lepsze niż te, które dotąd oglądałam. Muszę to przyznać.

- Musisz?

- Myślałam, że miejsce nie będzie mi odpowiadało, co zwolni mnie od konieczności podjęcia decyzji. - Diana splotła palce i podparła nimi brodę. - Powiedz mi, czy wynajmiesz tę przestrzeń komuś innemu, jeśli ja jej nie wezmę?

- Niekoniecznie. - Znowu przemknęło mu przez myśl, jak wtedy w Comanche, że to grzech, by tak pięknych dłoni nie ozdobił żaden pierścionek. - Nie chciałbym wpuszczać tu kogoś, kogo nie znam.

- A mnie znasz? - zapytała z nieznacznym uśmiechem.

- Myślę, że potrafimy się dogadać, ale przejdźmy może do mojego gabinetu. Poproszę Lucy, żeby zrobiła kawę.

- Nie, dziękuję. Nie mam ochoty, a ona i bez tego ma dość zajęć.

Na wielkim dębowym biurku Caine'a piętrzyły się stosy akt. Nie przesadzał, mówiąc o nawale pracy. Kiedy usiedli, z rozkoszą zaciągnął się papierosem. Ostatni klient mocno go zirytował swoim histerycznym zachowaniem.

- Ponieważ biuro ci się podoba, wygląda na to, że będziesz musiała podjąć decyzję.

- Tak - przyznała Diana z westchnieniem. - Wynajmę je. Musimy tylko omówić warunki.

Caine wypuścił kłąb dymu i wymienił sumę,

którą jeszcze mogła zaakceptować. Wyższego czynszu nie byłaby w stanie zapłacić, niższy mógłby budzić podejrzenia, że został ustalony wyłącznie dla niej.

- Dopóki się nie urządzisz, Lucy chętnie będzie prowadziła twoje sprawy, potem możesz albo zatrudnić własną sekretarkę, albo jakoś się umówicie.

Diana skinęła głową.

- Myślę, że się porozumiemy. Mam tylko wątpliwości, czy powinnam przejmować twoich klientów.

- Dlaczego nie? Czy nie o klientów ci chodziło, kiedy umawiałaś się na wczorajszą kolację z Fairmanem? Ten facet to chodzący słup ogłoszeniowy.

Zerknęła na Caine'a ponurym spojrzeniem, ale musiała przyznać mu rację.

- Nie bardzo mi się podoba sposób, w jaki to ująłeś, ale owszem. Niemniej między nami sprawa wygląda trochę inaczej. -

- Jeśli nie będziesz ich chciała, polecę im kogoś innego - zapewnił. - Mam w tej chwili dwóch, którymi chętnie bym się zajął, ale po prostu nie dam rady. Sama sprawa Day pochłania mi mnóstwo czasu.

Diana miała ochotę zapytać o szczegóły procesu, ale uznała, że na to przyjdzie jeszcze czas.

- Dlaczego chcesz odsyłać ich do mnie? Nie wiesz przecież, czy jestem dobra.

- Przeciwnie. Przeprowadziłem dokładny wywiad na twój temat.

- Słucham?

Uśmiechnął się pod nosem, widząc jej oburzenie.

- Nie spodziewasz się chyba, że będę polecał swoim klientom adwokata, o którego kompetencjach nic nie potrafię powiedzieć? Skoro ty masz wątpliwości, nie dziw się, że ja je też miałem.

Diana nic nie powiedziała. Caine znowu miał rację, a ona sama zapędziła się w kozi róg.

- W porządku. O jakie sprawy chodzi?

- Pierwsza to oskarżenie o gwałt. Dziewiętnastoletni chłopak o złej opinii. Twierdzi, że dziewczyna przespała się z nim z własnej woli, nawet kilka razy, potem doszło do awantury. Nie wiedział nawet, kiedy trafił do aresztu. Druga to sprawa rozwodowa. Powódką jest żona. Kiedy przyszła tutaj pierwszy raz, miała podbite oko i w perspektywie operację szczęki. Rozkoszny mąż katuje ją od jakiegoś czasu. Facet ma pieniądze i wpływy, więc ona boi się wystąpić z formalnym oskarżeniem o znęcanie fizyczne. Pogmatwana historia.

- Nie mogę powiedzieć, żebyś dawał mi łatwe sprawy - mruknęła Diana. - W przyszłym tygodniu porozmawiam i z tą kobietą, i z chłopakiem.

- Dobrze.

- Przygotujesz do tego czasu umowę najmu?
- Będziesz ją mogła podpisać choćby w poniedziałek.

- Nie zajmuję ci więcej czasu, wracaj do pracy.
- Diana podniosła się z uśmiechem. - Dziękuję, Caine. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłeś.

- Nie wiem, czy będziesz równie skłonna dziękować mi po spotkaniu ze swoimi nowymi klientami. - Caine wstał zza biurka i uściśnął dłoń Diany. - Skończyliśmy z interesami, teraz sprawy prywatne. Zjesz ze mną kolację dziś wieczorem?

Jak łatwo potrafi zmieniać ton głosu, pomyślała. Przed chwilą rzeczowy i suchy, teraz brzmiał miękko, zachęcająco. Poczwała, że krew szybciej zaczyna krążyć jej w żyłach.

- Myślę, że będzie rozsądniej, jeśli ograniczymy się do interesów, Caine.

- Nie w zimny piątkowy wieczór. Na Back Bay jest mała knajpka, gdzie podają świeże ryby i bardzo nieświeże sery. W kącie stoi mały, tonący w mroku stolik.

Musnął palcem koniuszek jej ucha, dotykając złotego kolczyka.

- Chciałbym cię tam zabrać, napić się z tobą wina i słuchać, jak się śmiejesz. A potem pojedziemy do mnie, rozpalę ogień na kominku i będziemy się kochać, aż ostatnie polano zamieni się w popiół.

Pragnęła go. Dała się ponieść melodii jego głosu, pozwoliła, by wyobraźnia podsunęła jej kuszące obrazy. Wtedy przyszło otrzeźwienie. Nie, nie będzie jeszcze jedną zdobyczą na jego liście.

- Nie - oznajmiła krótko. - Nie mam ochoty. Nie chcę.

- Owszem, chcesz, ale poczekam, aż będziesz gotowa to przyznać.

- Będziesz musiał długo czekać - prychnęła, chwytając torebkę. - Przygotuj na poniedziałek umowę najmu, przyniosę ci czek. Jeśli takie postawienie sprawy ci nie odpowiada, możesz uznać naszą rozmowę za niebyłą.

Caine w milczeniu patrzył, jak Diana wybiega z pokoju, z hukiem zatrzaskując drzwi. Działo się z nim coś niezwykłego, czego nie potrafił nazwać. Jak dotąd nikt nie potrafił wyprowadzić go z równowagi. Diana dokonywała tego jednym spojrzeniem, jednym niebacznym słowem.

Powinien zachowywać się tak, jak tego oczekiwała. Traktować ją jak koleżankę, omawiać z nią prowadzone sprawy, narzekać na sędziów.

Nie zamierzał jednak być rozsądny. Chciał ją mieć. I będzie ją miał szybciej, niż sądziła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dlaczego ktoś wali młotkiem w środku nocy? Diana odwróciła się na drugi bok i naciągnęła na głowę kołdrę, ale i to niewiele pomogło. Rano zadzwoni do administratora i złoży skargę, pomyślała ze złością. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że ktoś dobija się do jej drzwi.

Półprzytomna zerknęła na zegarek. Siódma trzydzieści. Co prawda nie był to środek nocy, ale i tak za wcześnie na wizyty, zwłaszcza w sobotę. Mrucząc pod nosem przekleństwa, podniosła się z łóżka i narzuciła szlafrok.

- Idę! Idę! - zawołała.

- Cześć! - W progu stał uśmiechnięty Caine.
- Obudziłem cię?

- Czego chcesz? - burknęła. Miała ogromną ochotę zatrzaskać mu drzwi przed nosem i wrócić do łóżka.

- Miło cię widzieć - oznajmił, całując ją przelotnie w usta.

Diana zacisnęła zęby i oparła się o ścianę.

- Wiesz, która godzina?

- Jasne. Siódma trzydzieści pięć. Masz kawę?

- Nie. - Mocniej zacisnęła pasek szlafroka. - Siódma trzydzieści pięć w sobotę rano - powiedziała z naciskiem.

- Uhm - zgodził się Caine i rozejrzył się z zaciekawieniem. W drodze ze swojego mieszkania kilka razy zadawał sobie pytanie, co zamierza zrobić, i za każdym razem udzielał sobie innej odpowiedzi, więc w końcu machnął na to ręką. Sam nie wiedział, po co tu właściwie przyjechał. - Ładnie mieszkasz - zauważył uprzejmie. - Może przygotuję kawę?

- Nie będzie żadnej kawy. O tej porze nie przyjmuję gości.

- Nic nie szkodzi. - Caine ruszył w stronę kuchni, niewzruszony ostentacyjnym ziewaniem Diany.

- Spałam, rozumiesz? Niektórzy ludzie lubią dłużej pospać w sobotę.

- To rozregulowuje organizm - poinformował ją, szukając kubków. - Potem trudno zwlec się z łóżka w poniedziałek rano. - Znalazł puszkę z kawą i zaczął odmierzać porcje. - Cały tydzień pracujesz nad tym, żeby się przyzwyczaić do wczesnego wstawania, a wtedy znowu przychodzi sobota i bach! Wszystko trzeba zaczynać od początku.

- Bardzo głęboka obserwacja - zauważyła

z przekąsem. - Nie przeszkadzają mi trudności z poniedziałkowym zwlekaniem się z łóżka. - Trzeba przyznać, że wybrał sobie świetny moment, żeby wyprowadzać ją z równowagi, pomyślała, tłumiąc kolejne ziewnięcie. - Co ty tutaj, u licha, robisz?

- Staram się zaparzyć kawę. Chyba że jesteś głodna. - Caine posłał jej rozbijający uśmiech. - Przygotowałbym śniadanie, ale potrafię tylko smażyć jajecznicę.

- Nie chcę żadnego śniadania - mruknęła niezbyt uprzejmie i przetarła zaspane oczy. - Co za głupawa rozmowa.

- Po kawie rozjaśni ci się w głowie, zobaczysz. - Caine włączył ekspres i odwrócił się do Diany. - Mówiłem ci już kiedyś, że rano ślicznie wyglądasz? To chyba kwestia skóry. Jest taka świeża. Powiedz, używasz jakiś tajemniczych indiańskich sposobów?

- Nie znam żadnych -indiańskich sposobów - wycodziła przez zęby. - Twoja kawa gotowa.

- Tak? - Caine zerknął na ekspres. - Ty też się napijesz?

- Wszystko mi jedno i tak już nie usnę. - Z trzaskiem otworzyła lodówkę i wyjęła mleko.

Caine z uśmiechem napełnił kubki i przeszedł do pokoju.

- Mamy z okien niemal ten sam widok - stwier-

dził, jakby to był powód do szczególnej radości.

- Mieszkam o przecnicę stąd.

- Cóż za przemiły zbieg okoliczności.

- Przeznaczenie - poprawił, rozsiadając się na kanapie.

- Jak się rozbudzę, powiem ci, co możesz zrobić z tym swoim przeznaczeniem. - Usiadła obok niego z szerokim ziewnięciem.

- Lucy przygotowała już brudnopis umowy. W poniedziałek po południu będziesz ją mogła podpisać.

- Doskonale. Dzisiaj chciałabym kupić różne drobiazgi z wyposażenia i koło środy mogłabym się wprowadzać.

- Pojadę z tobą - zaofiarował się skwapliwie.

- Dokąd pojedziesz?

- Na zakupy.

- Dziękuję, ale nie skorzystam z twojej oferty. Na pewno masz inne zajęcia.

- Akurat nie mam żadnych. - Zaśmiał się głośno. - Jesteś urocza, kiedy tak uprzejmie starasz się dać mi do zrozumienia, żebym poszedł sobie do diabła. - Spojrzał na nią już z poważną miną.

- Lubię być z tobą. Tak trudno ci zaakceptować moje towarzystwo?

- Tak. To znaczy... nie... ja... - Przy nim zawsze zachowuję się jak idiotka, pomyślała, wbijając wzrok w kubek z kawą.

- Są trzy powody, dla których powinnaś mnie zaakceptować - ciągnął. - Jesteśmy rodziną, będziemy pracować razem. - Przyjrzał się uważnie zasepionej twarzy Diany. - I pociągasz mnie. Podziwiam twoją urodę i fascynuje mnie twój pokrętny umysł.

- Nie mam pokrętnego umysłu. - Urażona podniosła się z kanapy, wsadziła dłonie do kieszeni szlafroka i podeszła do okna. Mogła pogodzić się z tym, że będą pracować razem, że są rodziną, ale... - Wprawiasz mnie w zakłopotanie. - Odwróciła się do niego gwałtownie. - A nie lubię czuć się w ten sposób! Chcę zawsze panować nad tym, co i jak robię, a przy tobie wszystko zaczyna plątać mi się w głowie. Niech cię diabli, Caine. Pojawiasz się ni stąd, ni zowąd i natychmiast wprowadzasz zamieszanie.

Zaintrygowany tym nagłym wybuchem przyglądał się jej z niezmaconym spokojem.

- Nie pomyślałaś nigdy o tym, że człowiek nie musi panować nad wszystkim?

Diana stanowczo pokręciła głową.

- Nie. Zbyt długo godziłam się z biegiem wydarzeń.

- Innymi słowy... - Odstawił kubek i wstał. - Jesteś gotowa odciąć się od tego, co czujesz i czego pragniesz, tylko dlatego, że to psuje ci szyki i wprawia cię w zakłopotanie?

- Owszem. - Jakby na potwierdzenie nerwowo

przezcesała palcami włosy. - W miarę trafnie to ująłeś.

- Sprawa nie do obrony, pani mecenas. - Podszedł do niej wolno. - Jestem w stanie wykazać ci luki w przyjętej przez ciebie linii.

- Nie interesuje mnie analiza proceduralna.

- To już musimy pozostawić sędziemu.

- Mogę powołać się na opinie krążące na temat twojego stosunku do kobiet. - Na wszelki wypadek cofnęła się o kilka kroków.

- Nie możesz domagać się wyroku wyłącznie na podstawie poszlak i pomówień. Musisz oprzeć oskarżenie na mocniejszych podstawach albo - pochylił się i pocałował ją w policzek - zaufać mi.

Dianę ogarnęła dziwna słabość. Nie mogła skupić myśli.

- Z równym powodzeniem mogłabym wyskoczyć przez okno.

Caine odsunął się nieznacznie. Wyglądało na to, że naprawdę chciał zdobyć jej zaufanie.

- Żądasz obietnic, gwarancji. Nie mogę ci ich dać. Ty także nie.

- Tobie jest łatwiej... - zaczęła, ale Caine pokręcił stanowczo głową.

- Dlaczego miałoby mi być łatwiej?

- Nie wiem - powiedziała z westchnieniem. - Tak mi się wydaje.

Chciał wziąć ją w ramiona i sprawić, żeby za-

pomniała o swoich wątpliwościach. Nie był pewien, jakie motywy nim kierują, ale pragnął jednego - pokazać Dianie, czym może być radość i namiętność. Zaczyna zachowywać się jak błędny rycerz, pomyślał markotnie. Trudno, jutro się nad wszystkim zastanowi.

- Ubierz się, spędzimy razem ten dzień. Poznaliśmy się w niezbyt sprzyjających okolicznościach, więc trzeba to nadrobić. Przekonajmy się, co nas łączy.

- Nie jestem pewna, czy mam ochotę się przekonywać - mruknęła Diana.

- Czy rzeczywiście tylko Justin ma duszę hazardzisty?

Jego oczy były takie ciepłe, kiedy się uśmiechał. Nie potrafiła się im oprzeć.

- Nie wiem. Zawsze tak mi się wydawało.

- Dobry prawnik musi być trochę hazardzistą.

- Problem w tym, że nie potrafię w tej chwili myśleć jak prawnik. - Odprężona, zdobyła się wreszcie na uśmiech. - Gdybym potrafiła, przywołałabym kilka odpowiednich precedensów, które pozwoliłyby mi natychmiast wyrzucić cię za drzwi i wrócić do łóżka.

Po chwili zastanowienia Caine pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Moglibyśmy dyskutować na ten temat przez dobrych kilka godzin.

- Bez wątpienia.

- Będę z tobą szczery - oznajmił najpoważniejszym w świecie tonem, owijając sobie pasmo jej włosów wokół palca. - Jeśli zaraz się nie ubierzesz, ciekawość weźmie górę i sprawdzę, co masz pod szlafrokiem.

Diana uniosła brwi.

- Czyżby?

- Możemy oczywiście negocjować, ale czuję się w obowiązku ostrzec cię, jakie mam wobec ciebie zamiary.

- Skoro tak stawiasz sprawę, idę wziąć prysznic.

- Świetnie, ja tymczasem dopiję swoją kawę.

- Zmierzył Dianę uważnym spojrzeniem, kiedy ruszyła w stronę drzwi. - A właściwie co masz pod tym szlafrokiem?

- Nic - rzuciła przez ramię. - Zupełnie nic.

- Tak też myślałem - mruknął, kiedy trzasnęła drzwiami.

- Nie wierzę, że to zrobiłeś. - Diana ze śmiechem weszła do antykwariatu. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- To kwestia uczciwości - powiedział Caine.

- W centrum widziałem identyczną lampę, tyle że o dwadzieścia dolarów tańszą.

- Musiałeś powiedzieć to tej kobiecie w obecności właściciela sklepu?

Caine wzruszył ramionami.

- Nauczy się, że powinien mieć konkurencyjne ceny.

- Wyglądał tak, jakby za chwilę miał dostać apopleksji - zachichotała - Myślałam, że umrę ze wstydu albo pęknę ze śmiechu. Nigdy już nie będę mogła pokazać się w tym sklepie.

- I nie powinnaś, dopóki facet nie zacznie obniżać cen.

Odrzuciła włosy do tyłu i przyjrzała mu się uważnie.

- Jest w tobie znacznie więcej ze Szkota, niż mogłoby się w pierwszej chwili wydawać.

- Dziękuję. Chodź, rozejrzymy się.

Diana zaczęła chodzić między półkami pełnymi staroci.

- Od godziny wędrujemy po sklepach, a ja nic jeszcze nie kupiłam. To twoja wina - oznajmiła z wyrzutem. - Podobało mi się to krzesło, które oglądaliśmy przed chwilą.

- Jeśli nie znajdziesz nic lepszego, wrócimy po nie. Popatrz tutaj. - Caine wskazał na parę pistoletów pojedynkowych z osiemnastego wieku. Były szkockie, to pewne. Wskazywała na to celtycka plecionka na kolbie. Spodobałyby się jego ojcu.

- Kolekcjonujesz broń? - zagadnęła Diana, zatrzymując się koło gabloty, w której leżały pistolety.

- Ja nie, mój ojciec.

- Są śliczne.

Caine spojrzał na nią uważnie.

- Niewiele kobiet potrafiłby powiedzieć coś podobnego o broni.

Diana wzruszyła ramionami.

- Są częścią historii i kultury, jak każdy inny przedmiot z przeszłości, prawda? Poza tym nie zapominaj, że moi przodkowie byli wojownikami. Podobnie jak twoi. - Z uśmiechem pochyliła się nad gablotą. - Komańcze nie używali oczywiście tak pięknej broni. Wiesz, gdzie zostały wyprodukowane?

- Najpewniej w Szkocji.

- To wszystko tłumaczy. Pewnie zaraz je kupisz, a ja wrócę do domu z pustymi rękoma. - Zauważyła idącego w ich kierunku sprzedawcę. - Ustalcie cenę, ja tymczasem rozejrzę się trochę.

Ruszyła w głąb sklepu. Kto by pomyślał, że będzie się tak dobrze czuła w towarzystwie Caine'a? Potrząsając głową z niedowierzaniem, zatrzymała się przy wiktoriańskiej sekreterze.

Im dłużej z nim przebywała, tym mniej skrępowana się czuła. Nie musiała niczego udawać, nie musiała być Dianą Blade z Beacon Hill. Zmęczyła ją już własna poprawność i nienaganne maniere. Dwadzieścia lat tresury nie dawało się jednak łatwo zapomnieć. Ile jeszcze czasu upłynie,

nim przestanie się dziwić, słysząc własny głośny, niepohamowany śmiech? Dama powinna zawsze zachowywać się powściągliwie, mawiała ciotka Adelaide.

Diana westchnęła smutno. Tak, wiele wysiłku włożyła w to, żeby spełnić oczekiwania ciotki. Nawet jeśli buntowała się przeciwko wpajanym jej przez nią zasadom, robiła to po cichu, dyskretnie. Nauczyła się panować nad sobą i nad wszystkim, co czuła.

Być może wybrała zawód adwokata dlatego, że w sądzie podczas rozprawy mogła wreszcie, przynajmniej po części, dawać upust emocjom. Tam były one akceptowane, a nawet cenione.

Prawo zawsze ją fascynowało. Pozostawiało szerokie pole do interpretacji, ale jednocześnie było jasne i logiczne. Zawsze chciała zajmować się sprawami karnymi, tak jak Caine.

Caine... Przy nim czuła się swobodna, pozwalała, by kierowały nią uczucia. Pragnęła go.

Potrząsnęła głową, odpędzając natrętne myśli. Rozejrzała się uważnie. W kącie dostrzegła biurko, które idealnie pasowałoby do jej gabinetu. Elegancki mebel z wiśniowego drewna, z ozdobnymi mosiężnymi okuciami, jakże inny od nudnych, pozbawionych wyrazu sosnowych biurek w kancelarii Barclaya, był dokładnie tym, czego szukała.

Jest moje, pomyślała, oczyma wyobraźni widząc je już w swoim biurze.

- Widzę, że znalazłaś coś dla siebie.

Rozpromieniona chwyciła Caine'a za rękę.

- Śliczne, prawda? Takie, jakiego szukałam. Muszę je mieć.

Wzruszyło go, że rzeczowa Diana Blade może stracić głowę dla starego mebla. Zerknął na cenę, a potem podniósł wzrok na podekscytowaną Dianę.

- Postaraj się zachować obojętną minę - poradził. - Idzie sprzedawca.

- Ale ja...

- Zaufaj mi. - Pocałował ją w policzek i nagle zmienił ton. - Owszem, jest ładne, kochanie, ale mało praktyczne.

- Caine.

- Mogę państwu w czymś pomóc?

Caine uśmiechnął się do sprzedawcy, który przed chwilą pokazywał mu pistolety.

- Pani jest zainteresowana tym biurkiem, ale...
- Tu pokręcił głową.

- Znakomity wybór - pochwalił sprzedawca, zwracając się do Diany. - Proszę tylko spojrzeć na te zdobienia. Dzisiaj już nikt nie robi takich mebli.

- Dokładnie czegoś takiego szukałam - oznajmiła Diana z całą prostodusznością i zapałem.

- Diano. - Caine objął ją ramieniem i lekko uszczypnął. - Pamiętaj, że musimy kupić jeszcze

kilka innych rzeczy. Biurko jest rzeczywiście niebrzydkie, ale to, które oglądaliśmy przed chwilą, też było ładne. - Już otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, że nie oglądali żadnego biurka, ale dostrzegła ostrzegawczy błysk w jego oczach i ugryzła się w język.

- Owszem, tyle że to mi się naprawdę podoba. Pasowałby do niego tamten fotel - dodała, wskazując fotel wyściełany niebieskim brokatem.

- Znowu muszę powiedzieć, że znakomicie pani wybrała - wtrącił sprzedawca. - Bardzo odpowiedni fotel dla damy. Podobnie jak biurko.

Diana z westchnieniem przesunęła dłonią po blacie biurka, po czym posłała Caine'owi pełne urazy spojrzenie. Ten wyszczerzył tylko zęby w uśmiechu i poklepał ją po ramieniu.

- Będziesz musiała jeszcze dobrać krzesło i odpowiednią lampę. Jeśli zdecydujesz się na tamto poprzednie biurko, za różnicę w cenie kupisz i jedno, i drugie.

- Masz rację. - Diana uśmiechnęła się przeproszająco do sprzedawcy. - Mebluję swoje biuro. Potrzebuję tylu rzeczy.

- Doskonale panią rozumiem. - Sprzedawca zaczął się zastanawiać, czy aby uda mu się sprzedać chociaż pistolety. Pistolety, biurko, fotel, krzesło, lampa... - Staramy się zawsze trafić w gust naszych klientów - oznajmił pompatycz-

nie. - Porozmawiam z kierownikiem. Jestem pewny, że uda nam się dojść do porozumienia.

- Nie wiem - zaczął Caine. Diana miała ochotę skrócić mu kark.

- Możemy przecież porozmawiać, kochanie - powiedziała słodkim tonem, ale w oczach miała żądzę mordu.

- Może masz rację. - Caine uśmiechnął się rozkosznie, ani trochę nie stropiony. - Obejrzymy tymczasem lampy, a pan niech porozumie się z kierownikiem.

- Zabiję cię, jeśli przez ciebie nie kupię tego biurka - syknęła Diana, kiedy sprzedawca zniknął na zapleczu.

- Kupisz. O dziesięć procent taniej. A potem postawisz mi lunch. - Caine zatrzymał się koło mosiężnej lampy z białym, matowym kloszem. - Co o niej myślisz? Pasowałaby do biurka.

- Tak, jest śliczna. - Dotknęła delikatnego klosza, po czym podniosła wzrok na Caine'a. - Lubisz się targować.

- Mam to we krwi, po ojcu.

- Ostrzegam cię, muszę mieć to biurko, spuścizną z ceny czy nie, ja je kupuję.

- Chcesz też fotel czy to była tylko sprytna zagrywka?

- Chcę. - Zaśmiała się. - Nie jestem taka przebiegła jak ty.

- Szybko się nauczysz.

- Myślę, że się dogadamy - oznajmił sprzedawca triumfalnym tonem.

Po kwadransie Diana była szczęśliwą posiadaczką biurka.

- Skąd wiedziałeś, że da dziesięć procent upustu? - zapytała Caine'a, kiedy wyszli ze sklepu.

- Doświadczenie - odpowiedział, biorąc ją za rękę.

- Od dzisiaj będę miała zupełnie inny stosunek do zakupów. Dziękuję ci za lampę. To miłe, że zrobiłeś mi prezent. A pistolety podarujesz pewnie ojcu?

- Owszem. Niedługo ma urodziny.

- Nie kupiłeś nic dla siebie. Nie miałeś na nic ochoty?

- Miałem. - Caine zatrzymał się, wziął Dianę w ramiona i mocno pocałował.

Przechodnie mijali ich ze śmiechem lub ze zdziwieniem na twarzach, ale Diana na nic nie zwracała uwagi. Wróciła do rzeczywistości dopiero po chwili, kiedy Caine oderwał usta od jej warg.

- Lubisz robić wokół siebie sensację - westchnęła cicho.

Ze śmiechem wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Nie o to mi chodziło - mruknął. - Idziemy na lunch?

- Chyba jestem ci to winna.
- A jesteś, jesteś. Tu zaraz za rogiem jest dobra knajpka.

- Charley's! - zawołała zdziwiona Diana, kiedy stanęli przed restauracją.

- Mają świetne chilli.

- Wiem. Przychodziłam tu czasami, kiedy byłam jeszcze na studiach. - Zbyt wiele ich łączy, pomyślała niespokojnie, kiedy usadowili się przy stoliku.

- Nie podoba ci się tutaj? - zapytał Caine, widząc, że spochmurniała.

- Podoba. Lubię to miejsce. - Pokręciła głową, odganiając ponure myśli. - Jakie chilli jadasz?

- Ostre.

Ze śmiechem rzuciła płaszcz na wolne krzesło.

- Ja też.

- Napijemy się wina? - zapytał, ujmując zziębnięte dłonie Diany. - Rozgrzeje cię.

- Tak. Ciężkie czerwone wino będzie w sam raz na taką pogodę. Opowiedz mi coś o swojej rodzinie - poprosiła, zmieniając nagle temat. - MacGregorowie są niemal legendą w Bostonie.

Caine parsknął śmiechem.

- Musisz ich poznać i sama osądzić, ile w tej legendzie prawdy, a ile zmyślenia. Mój ojciec to potężne, rude Szkocisko. Potrafi wypić pięć kolejek whisky pod rząd, nie mrugnawszy nawet okiem, i pa-

li cygara w tajemnicy przed matką. Ciągłe nas ruga, że nie myślimy o dzieciach i przedłużaniu rodu. Wasza matka chciałaby wreszcie pokołysać wnuka - zacytował z czystym szkockim akcentem.

- A co ona sama o tym myśli?

- Mama jest osobą bardzo spokojną i pogodną. Stanowi przeciwieństwo ojca, który ma naturę choleryka. Może raz, dwa razy w życiu widziałem ją zdenerwowaną - ciągnął Caine. - Raz w szpitalu, kiedy zmarł jeden z jej pacjentów. Zawsze myślałem, że traktuje swoją pracę chłodno, bez emocji. To nieprawda. Po prostu nie przynosi problemów zawodowych do domu. Drugi raz, kiedy ten chłopak porwał Renę.

Widząc zmianę na twarzy Caine'a, Diana uściśnęła jego dłoń.

- To musiało być straszne dla was wszystkich. Czekać, nie wiedząc, co się dzieje z Sereną.

- Tak. - Caine otrząsnął się z niemiłych wspomnień i uniósł kieliszek do ust.

- Alan jest człowiekiem bardzo cichym, cierpliwym, ale nie daj Boże, kiedy wybuchnie.

Diana także upiła łyk wina.

- Często się kłóćcie?

- Owszem, dość często - przytaknął. - Ale chyba jeszcze częściej sprzecam się z Reną. Mamy bardzo podobne usposobienie. Jeszcze jako dzieci tłukliśmy się okropnie, zawsze od niej

obrywałem. Jej lewy sierpowy był zabójczy - oznajmił z dumą. - Do czternastego, piętnastego roku życia nie traktowałem jej jak dziewczyny.

Kocha swoich bliskich, to widać i słyszać, pomyślała Diana.

- Miałeś szczęśliwe dzieciństwo - powiedziała, wbijając wzrok w kieliszek. - Zazdroścę ci tego, a właściwie zazdrościłam, kiedy cię poznałam. Zazdrościłam i jednocześnie byłam wściekła, że wtrącasz się między mnie i Justina. Tym bardziej, że miałeś rację.

- Zawsze mam rację - oznajmił skromnie, kiedy na stole pojawiło się chilli.

Diana prychnęła lekceważąco.

- Chciałabym zmierzyć się z tobą w sądzie.

- Dziwne, ale pomyślałem o tym samym. To byłby interesujący pojedynek. - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Jak ci smakuje?

- Świetne. Powiedz mi, mecenasie, naprawdę jesteś taki pewien, że wygrałbyś ze mną?

- Rzadko przegrywam.

- Syndrom Perry'ego Masona - stwierdziła krótko, popijając chilli winem. - Szkoda, że nie ubiegam się o urząd prokuratora. Wtedy prędzej czy później musielibyśmy skrzyżować miecze.

- Skrzyżujemy - mruknął Caine. - Choć może nie w sądzie.

- Może - przytaknęła, czując miły dreszcz podniecenia. - Ale ja na twoim miejscu nie byłabym taka pewna wygranej.

- Może po odczytaniu orzeczenia okaże się, że obydwójce wygraliśmy?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po spędzeniu całego wieczoru nad protokołami policyjnymi i notatkami dotyczącymi Chada Rutledge'a Diana nie była już taka pewna, że Caine zrobił jej przysługę, przekazując dość mętną sprawę chłopaka.

Rutledge nie przyznawał się do gwałtu, twierdził nadto, że przez pół roku utrzymywał stosunki z rzekomą ofiarą, Beth Howard. Beth z kolei zaprzeczała, twierdząc, że zna Chada tylko przelotnie.

Chad przyznał, że rzeczywiście spał z nią owego feralnego wieczoru. Kiedy matka przywiozła Beth na badanie do szpitala, dziewczyna była w hysterii i miała siniaki na ciele, Caine zdawał się jednak wierzyć w wersję chłopaka.

Diana z westchnieniem zamknęła teczkę. Za chwilę miała po raz pierwszy spotkać się z Chadem i powinna wyrobić sobie własne zdanie.

Rozejrzała się po ponurym pokoju rozmów w areszcie. Miała uczucie, że od beztrioskiej soboty, którą spędziła z Cainem zaledwie kilka dni wcześniej, minęła cała wieczność.

Otworzyły się drzwi i wprowadzono aresztowanego.

- Będę czekał w korytarzu, panno Blade - powiedział strażnik.

- Dziękuję - rzuciła, skupiając całą uwagę na swoim kliencie. Wyglądał znacznie młodziej niż na zdjęciach policyjnych. Siedział naprzeciwko niej z obojętną miną. Jego pozbawione wyrazu oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń. O zdenerwowaniu świadczył jednak sposób, w jaki zaciskał i rozprostowywał dłonie. Choć starał się wyglądać, jakby go to nic nie obchodziło, był śmiertelnie wystraszony.

- Nazywam się Diana Blade - zaczęła energicznym tonem. - Mam przejąć twoją sprawę, jeśli, oczywiście, wyrazisz zgodę. - Chad wzruszył ramionami, ale nic nie odpowiedział. - Mecenas MacGregor nie może, niestety, podjąć się obrony, nie ma czasu.

- Kobieta ma bronić faceta oskarżonego o gwałt? - zapytał, nadal wpatrując się w ścianę.

- Będiesz miał najlepszą obronę, jaką jestem w stanie ci zapewnić. Moja płęć nie ma tu żadnego znaczenia - dodała z mocą. - Opowiedziałeś już mecenasowi swoją wersję wydarzeń, chciałabym, żebyś teraz powtórzył ją mnie.

Chad nonszalanckim gestem przerzucił ramię przez oparcie krzesła.

- Masz fajki?

- Nie.

- Przynajmniej przysłał mi niezłą łaskę. - Chad po raz pierwszy raczył spojrzeć na Dianę.

- Daruj sobie komentarze i przejdźmy do rzeczy - zaproponowała spokojnie.

Z twarzy Chada zniknął głupawy, wyzywający uśmieszek, przemknęła przez nią irytacja.

- Masz protokół policyjny, powinien ci wystarczyć.

- Powiedz mi, co się wydarzyło dziesiątego stycznia. Marnujesz mój czas. I pieniądze swojej matki.

Wyjęła z teczki notes i pióro i spojrzała wyczekująco na Chada.

- Dziesiątego stycznia wstałem rano, wziąłem prysznic, ubrałem się, zjadłem śniadanie i poszedłem do pracy.

- Jesteś mechanikiem w warsztacie samochodowym Mayne'a, tak? - upewniła się Diana, niewiele sobie robiąc z arogancji chłopaka.

- Owszem - przytaknął z bezczelnym uśmiechem.

- Cały dzień spędziłeś w garażu?

- Tak. - Wzruszył ramionami, widząc, że jego zaczepny ton nie robi na niej żadnego wrażenia.

- Dostałem akurat mercedesa do przeglądu. Robię zagraniczne wozy.

- Rozumiem. O której wyszedłeś z pracy?

- O szóstej.
- Dokąd poszedłeś?
- Do domu na kolację.
- A potem?
- Wyszedłem na miasto, poszwendać się trochę, popatrzeć na panienki.
- Jak długo szwendałeś się?
- Ze dwie godziny. A potem zgwałciłem Beth Howard.

Diana nie przerwała pisania.

- Opowiedz o tym.
- Chcesz słuchać takich świństw?
- Wzięłeś ją do samochodu?
- Tak. Wyszła z kina. Zaproponowałem, że podrzucę ją do domu. Chodziliśmy razem do szkoły, zna mnie, to wsiadła. Pogadaliśmy trochę o życiu. Spodobała mi się, to wcisnął jej kit, że muszę wziąć coś z warsztatu.

- Poszła tam z tobą?

Chad zwilżył usta, nad górną wargą pojawiły się kropelki potu.

- Powiedziałem jej, że muszę wziąć z garażu jakieś narzędzia. Kiedy weszliśmy, zacząłem się do niej dobierać.

- Opierała się?

- Tak. Musiałem ją uspokoić. - Chłopak wyciągnął z kieszeni zgniecionego papierosa, dłonie mu drżały.

- Co działo się potem?
- Podarłem na niej ciuchy i zgwałciłem! - wybuchnął. - Czego chcesz ode mnie? Dokładnego opisu?

- Co miała na sobie?
Zanim odpowiedział, przeczesał palcami włosy.
- Różowy sweter - mruknął. - Szare sztruksy.
- Jesteś pewien?
- Tak, jestem pewien. Różowy sweter z białym kołnierzykiem i szare sztruksy.

- Więc zdarłeś z niej ubranie? - dopytywała się Diana. - Zdarłeś czy podarłeś?

- Podarłem.

Diana odłożyła pióro.

- Nie miała podartego ubrania.
-. Powtarzam, podarłem te ciuchy! Chyba wiem, do cholery, co zrobiłem! - Otarł pot z nadwargi wierzchem dłoni. - Byłem tam, paniusiu, ty nie.

- Ubranie Beth Howard było nietknięte, kiedy przyjechała do szpitala.

- Widać się przebrała.

- Nie, nie przebrała się - powiedziała Diana cicho. - Po prostu nie podarłeś jej ubrania. I nie zgwałciłeś jej. Dlaczego usiłujesz mi wmówić, że było inaczej?

Chad oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach.

- Cholera, wszystko jest nie tak.
- Nie poturbowałeś jej też.
- Nigdy nie zrobiłbym jej krzywdy - mruknął, kręcąc powoli głową.
- Kochasz ją.
- Tak. Ale się narobiło.
- Zacznijmy raz jeszcze od początku - poprosiła Diana. - Spróbuj nie kłamać.

Chad westchnął i zaczął opowiadać. Chodził razem z Beth do szkoły średniej, ale wtedy nie zwracali na siebie uwagi, obracali się w różnym towarzystwie. Pół roku temu Beth pojawiła się w warsztacie Mayne'a, odstawiała samochód do naprawy i to był początek prawdziwej znajomości.

Zaczęli chodzić ze sobą, ale ojciec Beth nie akceptował Chada i kazał córce z nim zerwać. Spotykali się jednak nadal, tyle że po kryjomu. - Nikt nie wiedział. - Chad zaśmiał się. - Nawet moi kumple i jej przyjaciółki. W domu mówiła, że idzie do biblioteki, do kina albo na zakupy. Jak czasami udało się jej wyrwać z chaty wieczorem, jechaliśmy do garażu, zamykaliśmy się tam, gadaaliśmy, kochaliśmy się. Oszczędzałem forszę, myślałem o ślubie.

- Co się stało tego wieczoru, kiedy cię aresztowano?

- Pokłóciliśmy się. Beth powiedziała, że już tak dłużej nie może, że ma w nosie, czy będziemy mieli

za co żyć i gdzie mieszkać, i żebyśmy się pobrali, zaraz, jutro. Nie chciała słuchać moich tłumaczeń. Zaczęła płakać, ja wrzeszczałem. Waliłem pięścią w ścianę - spojrzał na dłoń, jakby spodziewał się dojrzeć na niej jeszcze ślady z tamtego wieczoru. - W końcu wsiadła w samochód i pojechała. Ja poszedłem jeszcze do baru, wypłem kilka piw, dopiero potem wróciłem do domu. No, i zwinęły mnie gliny. Jezu, ale miałem wtedy pietra.

- Domyślasz się, dlaczego Beth oskarża cię o gwałt?

- Nie domyślam się, wiem. - W oczach Chada nie było już arogancji tylko bezradność. - Przyśłała mi gryps przez moją matkę. Kiedy wróciła tamtego wieczoru do domu, w zdenerwowaniu powiedziała wszystko ojcu. Stary się wściekł. Zaczął ją bić, wyzwał od najgorszych, straszył, że jeśli nie powie tego, co jej każe, zabije nas oboje. Beth przeraziła się. Kiedy matka wróciła do domu, stary powiedział, że zgwałciłem Beth i wezwał policję.

- Gdzie masz ten list?

- Zniszczyłem. - Chad bezradnie rozłożył ręce, widząc minę Diany.

- Jeśli napisze do ciebie znowu, nie pozbywaj się tej korespondencji.

- Nie chcę jej narażać. Kiedy gliny mnie zwinęły, wystraszyłem się, ale byłem też wściekły.

Myślałem, że Beth próbuje się na mnie odegrać. Wygląda na to, że posiedzę kilka lat.

- Tak ci się spodobało? Twoja cela w areszcie to hotel w porównaniu z więzieniem - powiedziała Diana, odsuwając papiery.

Chadowi zaczęły drżeć wargi.

- Jakoś wytrzymam.

- Będiesz siedział z prawdziwymi gwałcicielami - powiedziała chłodno. - Z mordercami. Z ludźmi, którzy są w stanie zabić, nie mrugnawszy nawet okiem. Pomyśl, jak Beth będzie się czuła, wiedząc, że masz do odsiedzenia kilkuletni wyrok?

- Da sobie radę. Kilka lat to nie wieczność - mruknął Chad bez przekonania.

- Chcesz stracić dwadzieścia lat życia? Zgodzisz się, żeby jej ojciec postawił na swoim? Bądź dorosły - rzuciła niecierpliwie. - To nie zabawa. Czeka cię proces o gwałt. Możesz dostać dożywocie. - Chad zbladł, ale nic nie powiedział. - Będziesz zeznawał jako-świadek, Beth również. Musicie powiedzieć sądowi, co naprawdę zdarzyło się tamtego wieczoru. Jeśli skłamięcie, dostanie wyrok za składanie fałszywych zeznań.

- Jeśli się przyznam do winy...

Diana włożyła notes do teczki.

- Skoro chcesz grać bohatera, dlatego że twoja dziewczyna boi się swojego ojca, znajdź sobie innego adwokata. Ja nie bronię idiotów.

Chciała wstać, ale Chad chwycił ją za rękę.

- Nie chcę zaszkodzić Beth, ona jest śmiertelnie wystraszona.

- I będzie wystraszona, dopóki nie powie prawdy. A może po prostu nie wierzysz, że cię kocha?

- Powiedz mi, co mam robić. - Chad wreszcie skapitulował.

Kiedy godzinę później Diana wróciła do biura, ze zmęczenia ledwie trzymała się na nogach. Lucy podniosła na nią wzrok znad klawiatury, przestała na moment pisać.

- Wyglądasz tak, że przydałby ci się kubek gorącej kawy.

Diana uśmiechnęła się blado.

- To widać?

- Jasne. Zaraz włączę ekspres i... - Zanim zdążyła dokończyć zdanie, zadzwonił telefon.

- Sama sobie przygotuję kawę, a ty podnieś słuchawkę.

Diana przeszła do kuchni. Ciągle miała przed oczami bladą, wystraszoną twarz Chada. Co teraz czuje Beth? Gdyby mogła z nią porozmawiać. Ba, na to nie pozwoli ani prokurator, ani ojciec dziewczyny.

Rozcierając sztywny kark, zapatrzyła się w okno, zapominając o kawie. Być może uda się jej wydobyć prawdę z Beth w czasie pierwszych przesłuchań. Być może, być może. Zbyt wiele wą-

pliwości, tymczasem ważył się los niewinnego chłopaka.

- Ciężki miałaś dzień? - W progu stanął Caine.

- Owszem. - Jak dobrze go widzieć, pomyślała z radością. Jak to dobrze, że jest ktoś, z kim może porozmawiać, kto zrozumie jej problemy.

- Zajęty?

Caine pomyślał o rozłożonych na biurku papierach, ale pokręcił przecząco głową.

- Nie. Napiłbym się kawy. Rozmawiałaś z Chadem Rutledgem?

- Biedny chłopak. Wszedł do pokoju rozmów, odgrywając wczesnego Brando, wiesz, taki twardeł z ulicy, tyle że nie mógł powstrzymać drżenia rąk.

- Dał ci wycisk? - Caine postawił kubki z kawą na stole i usiadł naprzeciwko Diany.

- Próbował. Potem oznajmił, że zgwałcił Beth Howard.

Caine gwałtownie uniósł głowę.

- Co takiego?

- Ot, tak po prostu, zgwałcił mimochodem, bo nie miał akurat nic lepszego do roboty. Im bardziej usiłował mnie przekonać do swojej wersji, tym bardziej drżały mu ręce. Dopiero kiedy zaczęłam domagać się szczegółów, pękł. - Powtórzyła Caine'owi całą rozmowę, słowo po słowie. - Usiłowałam przekonać go, że głupio robi i w ten sposób

nie osłoni Beth. Byłam twarda. Och, Caine, oni obydwójce są jeszcze tacy młodzi. - Wstała i podeszła do okna.

Królewna wyszła ze swojej wieży. Chciał tego, sam ją do tego popychał, a teraz zaczął się o nią bać. Tak bardzo zaangażowała się w tę sprawę.

- Wiesz przecież, że nie zawsze możemy, ba, nawet nie powinniśmy, niańczyć naszych klientów - zaczął powoli.

- Wiem, ale trudno pogodzić się z własnym okrucieństwem, z tym, że tak spokojnie możesz smagać kogoś słowami. Trząśł się, pocił, a ja nie okazałam mu cienia współczucia.

- Dałaś mu dokładnie to, czego potrzebował, a teraz wyrzucasz sobie, że postąpiłaś dokładnie tak, jak powinnaś. Od okazywania współczucia ma matkę. Ty masz go bronić. Jeśli dasz się ponieść emocjom, nie masz czego szukać w sali sądowej. Tam musisz być obiektywna. - Głos Caine'a brzmiał zimno, surowo.

- Wiem. - Diana odwróciła się, zaciskając dłonie. Pragnęła, żeby Caine ją pocieszył, wziął w ramiona. Nie, skarciła się natychmiast. Sama musi się z tym uporać. - Pozbieram się przed następną rozmową z Chadem - powiedziała krótko. To właśnie Caine chciał usłyszeć. - Pójdę na górę popracować - uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Jutro rano przychodzi pani Walker. Ta kobieta, która

chce wnieść pozew rozwodowy - dodała, widząc pytające spojrzenie Caine'a.

..- Ach, prawda - bąknął, niepewny własnych myśli i odczuć. - Podłączyli ci już telefon.

- To dobrze. Pójdę już - powtórzyła, ale nadal stała bez ruchu przy oknie.

- Diano - zaczął Caine z wahaniem. - Masz coś jutro poza wizytą pani Walker?

- Nie, żadnych spotkań. Tylko papierkową robotę.

- Muszę jechać jutro do Salem, zobaczyć się z kimś w sprawie Virginii Day. Może pojechałabyś ze mną? Oderwiesz się na chwilę od biurka.

- Mogę jechać - zgodziła się bez namysłu. - Dopóki jeszcze mam wolny czas.

- Świetnie. Ruszymy zaraz po twoim spotkaniu z panią Walker.

Na moment zaległo niezręczne milczenie. Śmieszne, pomyślała Diana. Dwoje ludzi, których żywiołem jest słowo, nagle ma kłopoty z wypowiedzeniem najprostszyc zdań.

- O w pół do jedenastej, najpóźniej o jedenastej, powinnam być gotowa. - Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale w głowie miała kompletną pustkę. - Pójdę do siebie.

Kiedy kroki Diany ucichły, Caine podszedł do ekspresu, ponownie napełnił kubek, po czym usiadł przy stole i zapalił papierosa.

Co się z nim dzieje? Kiedy pytał Dianę, czy pojedzie jutro do Salem, czuł się jak sztubak. Nie, nawet jako sztubak nie był taki nieporadny. Nigdy nie miał też problemów z kontaktem z kobietami. Lubił ich towarzystwo, dobrze się z nimi czuł, ale ostatnio spędzał wieczory samotnie w domu. Nie pamiętał już, kiedy myślał o innej kobiecie poza Dianą. Zaprzętała jego myśli, a jednocześnie wprawiała w dziwne zakłopotanie. Nie potrafił nazwać swoich uczuć.

Zły na siebie wstał i podszedł do okna. Chryste, czyżby się zakochał? Nie, to śmieszne.

Poirytowany, wylał resztkę kawy do zlewu. Człowiek nie dożywa sobie tak spokojnie trzydziestki, żeby nagle, ni stąd ni zowąd, rzucić się na złamanie karku w pogoni za czymś, co pewnie nawet nie istnieje. Chyba... chyba że zwariował.

Musi być przepracowany, powiedział sobie. Zbyt wiele zarwanych nocy, zbyt wiele spraw. Powinien dobrze się wyspać i umówić na randkę z jakąś dziewczyną. Jutro będzie miał jaśniejszy umysł i spojrzy na wszystko z dystansu.

Tylko że jutro Diana nie zniknie nagle z jego życia. Klnąc pod nosem, ruszył do swojego gabinetu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wyprawa do Salem mogłaby być nawet miła, gdyby Diana od początku nie czuła, że coś jest nie tak. Caine dużo mówił i humor mu dopisywał, a mimo to w samochodzie panowało dziwne napięcie. Ponieważ nie potrafiła dokładniej określić tego nastroju, uznała, że jest przeczulona i przypisuje Caine'owi własne odczucia.

Bo też od wczorajszego dnia nie mogła znaleźć sobie miejsca, co po części przypisywała spotkaniu z Chadem Rutledgem. Poirytowana, powtarzała sobie, że dobry adwokat musi umieć wypośredkować pomiędzy zawodowym dystansem i emocjonalnym zaangażowaniem w sprawę. Zamiast o tym myśleć, powinna pójść za radą Caine'a, odprężyć się i cieszyć przejażdżką.

- Nie powiedziałaś mi, z kim zamierzasz spotkać się w Salem - zagadnęła.

Caine z trudem oderwał się od własnych rozmyślań. Podobnie jak Diana był rozdrażniony, i jak ona wiązał ten stan ze sprawami zawodowymi, broń Boże prywatnymi.

- Z cioteczną babką Agatą.

Diana parsknęła śmiechem.

- Nie musisz zmyślać, wystarczy powiedzieć, żebym pilnowała swoich spraw.

- Mam się spotkać z cioteczną babką Virginii Day, Agatą - wyjaśnił Caine. Mów o sprawie, napomniał się w myślach. Zagadaj to, co czujesz. - Ta wspaniała dama zna podobno Ginnie lepiej niż ktokolwiek inny. Niestety, kilka tygodni temu złamała nogę na łyżwach i teraz leży w szpitalu.

- Cioteczna babka Agata jeździ na łyżwach?

- Jak widać.

- Ile ma lat?

- Sześćdziesiąt osiem.

- Hmm. Czego się spodziewasz po tej rozmowie?

Czego się spodziewa? Jeszcze kilka dni temu zbyłyby to pytanie wzruszeniem ramion albo jakąś gładką uwagą. Sprawa, powtórzył sobie, myśl o sprawie.

- Oskarżenie mówi o morderstwie pierwszego stopnia. Chcę ustalić, czy Ginnie zwykle nosiła przy sobie pistolet. Jeśli udowodnię, że działała w obronie koniecznej, może uda mi się przekonać ławę przysięgłych, że poszła do mieszkania Laury Simmons, żeby rozmówić się z aktualną kochanką męża, a nie żeby go zabić.

- Aktualną kochanką - powtórzyła Diana. - Musiał mieć ich sporo.

- Detektyw, którego Ginnie wynajęła kilka miesięcy wcześniej, zebrał imponującą dokumentację, z której wynika, że doktor Francis Day nie tracił czasu. Gdybym mógł przedstawić zgromadzone przez niego materiały sądowi, może przysięgli okazaliby większe zrozumienie dla oskarżonej. Z drugiej strony te materiały to mocne motywy zabójstwa.

- Postanowiłeś zatem skupić się na sprawie pistoletu?

Caine przypalił papierosa i pokiwał głową. Uczucie niepewności i rozdrażnienia minęło. Znowu stał na pewnym gruncie.

- Ginnie twierdzi, że nie rozstawała się z bronią. Ciągłe się bała, że ktoś ją napadnie. Miała bzika na tym punkcie i nic dziwnego, skoro zwykła obwieszać się biżuterią wartą kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

- Tak - przypomniała sobie Diana. - Media za nią nie przepadały. Wyrobiły jej opinię rozkapryszonej, zepsutej dziewczynki, która ma więcej pieniędzy niż klasy.

- To prawda - przytaknął Caine. - Mogę się tylko cieszyć, że nie zasiadasz na ławie przysięgłych.

- Rzeczywiście, ostatnio jestem cięta na osóbk

jej pokroju. Irene Walker zdaje się przeciwieństwem Virginii Day.

- Jak udało się spotkanie?

- Siniaki z jej twarzy jeszcze nie znikły - zaczęła Diana zasepionym głosem. - Chyba nigdy jeszcze nie spotkałam kobiety, która równie nisko by się ceniła. Sprawia takie wrażenie, jakby wierzyła, że zasługuje na bicie. Przyjaciółka, do której się przeniosła, przekonała ją, żeby wniosła jednak sprawę przeciwko mężowi o znęcanie się fizyczne, ale... - Pokręciła głową. - Mam wrażenie, że Irene Walker jest jak gąbka: nasiąka emocjami ludzi, z którymi przestaje. Wbiła sobie do głowy, a właściwie mąż wbił jej do głowy, że bez niego będzie niczym. Poradziłam jej, żeby poszła do psycho-terapeuty. Rozwód będzie dla niej ciężkim przeżyciem. Potrzebuje fachowej rady, wsparcia. Ciągle nosi na palcu obrączkę - dodała z niedowierzaniem.

- Pozbycie się jej dla kogoś takiego jak Irene Walker byłoby dowodem ostatecznego zerwania - zauważył Caine.

- Możesz sobie wyobrazić, że są małżeństwem zaledwie od czterech lat, a ona nie pamięta nawet, ile razy ją poturbował. Chętnie pogadam sobie z nim w sądzie.

- Jeśli dobrze pamiętam, są świadkowie dwóch ostatnich pobić. Masz gościa na patelni.

- I bardzo dobrze. Chciałabym, żeby sprawa jak najszybciej trafiła na wokandę, dopóki pani Walker, patrząc w lustro, widzi jeszcze siniaki na twarzy. Obawiam się, że ta kobieta ma wyjątkowo krótką pamięć.

Caine zerknął na teczkę leżącą u stóp Diany.

- Chcesz nad tym dzisiaj pracować?

- Zamierzam przygotować sobie zestaw pytań dla Walkera. Najpierw przeprowadzimy rozwód, a potem zafundujemy krewkiemu mężowi proces o znęcanie się.

- Żądasz krwi?

Diana uśmiechnęła się.

- Ktoś kiedyś powiedział mi, że sprawy trzeba stawiać jasno. - Urwała i nagle zmieniła temat. - Jak długo masz ten samochód? - zapytała, przesuwając palcami po skórzanym obiciu fotela.

- Samochód? - Caine zamrugał powiekami, zaskoczony pytaniem.

- Myślę o tym, żeby kupić sobie nowy wóz.

Caine uśmiechnął się. Aha, Diana się otwiera, zaczyna mówić o sobie.

- Chcesz kupić jaguara?

- Może. - Uniosła lekko brwi. - Chyba że są zarezerwowane wyłącznie dla byłych prokuratorów stanowych.

- Ja raczej widziałbym cię w mercedesie. To samochód stateczny i elegancki.

- Próbujesz mnie obrazić?

- Skądże. Potrafisz prowadzić wóz z ręczną zmianą biegów?

- A jednak próbujesz mnie obrazić.

Caine bez słowa zjechał na pobocze, wysiadł i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Siądź za kierownicą.

- Ja?

Z trudem powściągnął uśmiech na widok zaskoczonej, ale radosnej miny Diany. Lubił chwile, kiedy zapominała o swych wytwornych manierach.

- Jeśli chcesz kupić samochód, musisz go najpierw poczuć. Chyba że - dodał, przeciągając słowo - nie potrafisz prowadzić wozu z pięcioma biegami.

- Potrafię prowadzić każdy - oznajmiła butnie.

- Świetnie. - Caine zajął jej miejsce. - Powiem ci, gdzie skręcić.

Diana wrzuciła pierwszy bieg. Pod palcami czuła lekką wibrację. Zerknęła w lusterko wsteczne i wyjechała na szosę.

- Cudowny! - zawołała. - Boję się, że gdybym taki miała, ciągle płaciłabym mandaty za przekraczanie szybkości. Wspaniałe uczucie, wiedzieć, że można nacisnąć na gaz i po chwili mieć sto pięćdziesiąt na godzinę na liczniku. Dlatego go kupiłeś? - zapytała, wrzucając piąty bieg.

- Lubię rzeczy, które mają styl - mruknął, wpatrując się w profil Diany. Wyobraził sobie, jak pędzi pustą drogą w letni wieczór, a wiatr rozwiewa jej włosy. - Fascynujesz mnie, Diano.

Posłała mu przekorny uśmiech.

- Dlatego, że potrafię prowadzić jaguara, nie zjeżdżając na przeciwny pas ruchu?

- Dlatego, że masz styl. Skrećmy zaraz, o tutaj.

Diana usadowiła się w kącie szpitalnej poczekalni, a Caine poszedł zobaczyć się z Agatą Grant. Czekąca już na niego: uróżowana, z nieskazitelną fryzurą, w pościeli obszytej różową koronką. Kiedy wszedł, odłożyła jakieś czasopismo sportowe.

- Wreszcie ktoś, na kim można zawiesić oko - stwierdziła z uznaniem. - Siadaj, mój drogi.

Caine uśmiechnął się szeroko na to powitanie.

- Dzień dobry, pani Grant. Jestem Caine MacGregor.

- A wiem, adwokat Ginnie - starsza pani skinęła głową i wskazała mu krzesło. - Ta dziewczyna zawsze miała dobry gust, jeśli chodzi o mężczyzn. No i nawarzyła sobie piwa.

Caine zdjął z krzesła stertę kolorowych magazynów i usiadł.

- Mam nadzieję, że mi pani pomoże, pani Grant. Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć mimo choroby.

Agata machnęła ręką ze wzdargliwym prychnięciem.

- Będę na nogach szybciej, niż te konowały myśla. - Tu uśmiechnęła się smutno. - Tyle że na razie trzeba się będzie pożegnać z jazdą figurową. Ale do rzeczy. Powiedz mi, mój drogi, z czym przychodzisz.

- Wie pani oczywiście, że Ginnie jest oskarżona o zamordowanie Francisa Daya. - Kiedy starsza pani skinęła głową, ciągnął dalej: - Poszła do mieszkania Laury Simmons, wiedząc, że zostanie męża u jego kochanki.

- Jednej z wielu - zauważyła Agata cierpko.

Caine uniósł lekko brew.

- Pani Simmons na prośbę Ginnie zostawiła oboje sam na sam - kontynuował. - Kiedy dwadzieścia minut później wróciła do mieszkania, Day już nie żył, a Ginnie siedziała na kanapie z pistoletem w dłoni. Dostał dwie kule z bliskiej odległości. Pani Simmons wpadła w histerię, pobiegła do sąsiadów i stamtąd wezwała policję.

- Ginnie go zabiła. - Agata odsunęła leżące na kołdrze czasopisma. - Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

- Tak, nie próbuje zaprzeczać, twierdzi jednak, że kiedy została z mężem sama, ten zrobił się agresywny. Początkowo krzyczeli na siebie, potem Ginnie zagroziła, że wystąpi o rozwód i że ujawni

wszystkie materiały zebrane przez detektywa, czego Day chciał za wszelką cenę uniknąć. Ubiegał się o stanowisko ordynatora chirurgii w Boston General Hospital i tego typu rozgłos mógłby mu poważnie zaszkodzić.

Agata zaśmiała się sucho.

- O tak, Frannie był bardzo czuły na punkcie swojej opinii. Chciał uchodzić za oddanego swojemu powołaniu lekarza, a tymczasem był zwykłym rozpuśnikiem.

Jest silna, bardzo silna, pomyślał Caine z uznaniem, podejmując swoją relację.

- Day wpadł podobno w szal, uderzył Ginnie, pchnął ją na podłogę, chwycił lampę z komody. Krzyczał, że zabije żonę. Kiedy się do niej zbliżył, wyciągnęła pistolet z torebki i strzeliła.

Agata spojrzała bystro na Caine'a.

- Wierzysz jej?

- Wierzę, że Virginia Day zastrzeliła męża w chwili paniki, działając w obronie koniecznej - powiedział po chwili.

- Ginnie to zepsuta dziewczyna. Rozpieściliśmy ją. Łatwo wpada w gniew i nie myśli wtedy o konsekwencjach. Nie potrafiłaby jednak zabić z zimną krwią, co to, to nie.

- Żeby to udowodnić, muszę najpierw ustalić, dlaczego na spotkanie z mężem zabrała pistolet - powiedział Caine.

- Ona nie ruszy się na krok z domu bez broni - mruknęła Agata z niesmakiem. - Obrzydlistwo. Pytałam ją wiele razy, po co jej ten pistolet, ale ona tylko się śmiała. Ciociu Agie, mówiła, jak ktoś będzie chciał na mnie napaść, czeka go niespodzianka. - Agata prychnęła. - Głupia sroka obwieszona się brylantami, szmaragdami i tak paradowała po Back Bay, po Manhattanie. Dopóki miała ten swój przeklęty pistolet w torebce, niczym się nie przejmowała.

- Często widywała pani u niej pistolet?

- Owszem. Ilekroć miałyśmy gdzieś iść razem, zawsze zabierała go ze sobą. Kiedyś otworzyła torebkę podczas jakiegoś przyjęcia, też go miała. Pamiętam, że zrobiłam jej wtedy straszną awanturę. Ale gdzie tam, mogłam sobie strzepić język.

- Zezna pani pod przysięgą, że Virginia Day miała zwyczaj nosić przy sobie pistolet kaliber dwadzieścia dwa? Że widziała go pani u niej wielokrotnie i próbowała nawet zwracać uwagę na niewłaściwość takiego postępowania?

- Skarbie, dla niej mogłabym nawet skłamać i pójść do piekła. - Agata uśmiechnęła się chłodno. - Nie znosiłam tego dwulicowego łajdaka, jej męża.

- Pani Grant...

- Uspokój się, chłopcze. W tej sprawie mogę zeznawać z ręką na sercu i nie popełnię grzechu.

Zdziwiłabym się, gdyby Ginnie nie miała przy sobie pistoletu tamtego wieczoru.

- Dobrze. Pani deklaracja pójścia do piekła niech zostanie między nami.

- Rozumiemy się. - Agata posłała Caine'owi chytry uśmiezek i zmierzyła go baczным spojrzeniem. - Ty i Ginnie... chyba nie.

- Jestem jej pełnomocnikiem - oznajmił Caine, wstając. - Dziękuję, pani Grant.

- Gdybym miała czterdzieści lat mniej i oskarżyli mnie o morderstwo, przysięgam, że byłbyś nie tylko moim pełnomocnikiem.

Caine z uśmiechem ucałował dłoń starszej pani.

- Proszę nikogo nie zabijać, Agato. Z trudem mógłbym się pani oprzeć.

Diana siedziała tam, gdzie ją zostawił. Stał dłu-gą chwilę i przyglądał się, jak pochłonięta pracą robi notatki. Nie przerywał jej, to ona dostrzegła go pierwsza.

- Dawno tu jesteś? - zdziwiła się, podnosząc głowę znad papierów.

- Chwilę. Nie każdy potrafi się tak wyłączyć jak ty.

- To jeden z moich talentów. - Wrzuciła notes i akta do teczki. - Rozwinięty z konieczności ochrony przed cioteczką. Jak ci poszło?

- Znakomicie. Twoja ciotka była taka okropna?

Diana natychmiast zeszywniała.

- Ciotka? - zapytała chłodno.

- Tak, ciotka. Pytam, czy była bardzo okropna?

- Lubiła sentencje w rodzaju: „Dama nigdy nie zakłada brylantów przed piątą po południu”.

- O, cholera. Zastanawiam się, czy nie byłem dla ciebie zbyt ostry w Atlantic City - powiedział Caine, kiedy ruszyli w stronę windy.

Diana spojrzała na niego zaskoczona.

- Skąd akurat teraz przyszło ci to głowy?

- Myślałem o Agacie. - Caine nacisnął przycisk parteru. - Nie aprobeuje stylu życia i postępu swojej siostrzenicy, ale ją kocha. To widać. Wydaje mi się, że w twoim przypadku było odwrotnie.

- Ciotka Adelaide aprobeowała mnie taką, jaką chciała mnie widzieć. - Diana ze wzruszeniem ramion wysiadła z kabiny. - A jeśli chodzi o miłość, nigdy mnie nie kochała, ale też nie udawała, że kocha. Nie mogę jej za to winić.

- Dlaczego nie, u licha?

- Nie możesz winić człowieka za to, co czuje albo czego nie czuje - odparła spokojnie i odwróciła się na znak, że konwersacja skończona.

Zirytowany Caine chwycił ją za rękę.

- Owszem, możesz. Jak najbardziej możesz.

- Zostaw to, Caine. Ja już przebolełam. Było, minęło. O Boże, spójrz - zawołała nagle. Na ulicy w najlepsze padał gęsty śnieg.

- I wierz tu prognozom. Do wieczora miał być spokój, ani jednego płątka śniegu.

Diana naciągnęła rękawiczki.

- Zapowiada się interesujący powrót do Bostonu - powiedziała, wychodząc w zawieję.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, uciekniemy przed śniegiem. - Zanim doszli do samochodu, obydwójce byli pokryci białymi płatkami.

- Może powinniśmy wrócić do szpitala i poczekać - zawahała się Diana.

- To najgorsze, co moglibyśmy zrobić. Spróbujemy wyjechać.

Przez pierwszych dwadzieścia minut posuwali się naprzód stosunkowo łatwo, ale w miarę przejechanych kilometrów śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, a wiatr bardziej porywisty. W końcu wycieraczki przestały nadążać z odgarnianiem białego tumanu.

- Zrobiło się paskudnie - mruknęła Diana, widząc, jak jadący przed nimi samochód wpada w poślizg i omal nie koziołkuje, zanim kierowca zdążył zapanować nad kierownicą.

Po kilku minutach jazdy przydarzyło im się dokładnie to samo. Caine w ostatniej chwili zdołał wymanewrować tańczącego na śliskiej nawierzchni jaguara.

- To samobójstwo jechać w taką pogodę - mruknął, kiedy już wyrzucił z siebie kilka soczystych przekleństw. - Zatrzymamy się w pierwszym

hotelu i przeczekamy do rana. - Rzucił Dianie uważne spojrzenie. - Wszystko w porządku?

- Zapytaj mnie, kiedy przestanę się modlić - powiedziała z westchnieniem.

Parsknął śmiechem i zmrużył oczy, usiłując coś dojrzeć pośród zamieci.

- Zdaje się, że mamy szczęście.

- Aha, jest neon. Notel. - Jedna laseczka w literze M się nie paliła. - Notel, nie motel - pokpiwała Diana. - Doskonałe schronienie przed burzą śnieżną.

Caine omiół wzrokiem skromny parterowy pawilon i zaparkował przed wejściem.

- Na luksusy nie mamy co liczyć.

- Ale na dach nad głową chyba tak?

-. Być może.

- To powinno nam wystarczyć. - Diana pchnęła z całych sił drzwiczki, mocując się z wiatrem. Kiedy wreszcie udało jej się wysiąść, natychmiast zapadła po kolana w zaspę. - Cudownie! Jest cudownie! - zawołała ze śmiechem.

- Powinnaś była powiedzieć mi, że się boisz.

- Caine objął ją ramieniem i pociągnął do wejścia.

- Miałam zamiar, kiedy wyczerpię cały zapas modlitw.

Wewnątrz owionął ich kwaśny zapach piwa i tanich papierosów. Recepcjonista podniósł leniwe spojrzenie znad gazety.

- Tak?
- Chcemy wynająć dwa pokoje na jedną noc.
- Mam tylko jeden.

Diana zerknęła na Caine'a, a potem na szklane drzwi wejściowe i zorientowała się w lot, że do niej należy decyzja.

- Weźmiemy go - rzucała, myśląc o strachu, jaki towarzyszył jej przez całą drogę. Wołała już nie ryzykować.

Recepcjonista wyjął klucz spod kontuaru.

- Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt - powiedział, nie wypuszczając go z rąk. - Gotówką. Płatne z góry.

- Można tu gdzieś coś zjeść? - zapytał Caine, odliczając banknoty.

- Jest restauracja. Czynna do drugiej. Pokój na zewnątrz, na lewo, numer dwadzieścia siedem. Do dziesiątej trzeba się wymeldować albo płacicie za następną dobę. Telewizja za darmo, filmy płatne.

Caine podał mu pieniądze i odebrał klucz.

- Miły facecik - zauważyła Diana, kiedy brnęli przez śnieg do swojego numeru. - Wspomniałeś coś o jedzeniu?

- Głodna? - zapytał Caine, zatrzymując się przed odrapanymi drzwiami.

- Umieram z głodu. Nie zdawałam sobie sprawy, że... - przyznała i słowa zamarły jej na ustach. Pokój o różowych ścianach niemal w ca-

łości wypełniało ogromne łoże zasłane kapą w krzykliwy kwiecisty wzór. Poza nim stało tu tylko jedno krzesło i coś, co stanowiło nędzną imitację stołu. Na domiar wszystkiego na suficie nad łożkiem pyszniło się ogromne, pokryte grubą warstwą kurzu lustro.

- Nie jest to Ritz - powiedział Caine, z trudem powstrzymując się, by nie wybuchnąć śmiechem na widok zdumienia Diany. - Ale ma dach.

- Hmm. - Po raz ostatni zerknęła z powątpiewaniem na lustro, uznając, że lepiej nie zastanawiać się w tej chwili nad wystrojem wnętrza w podrzędnych zajazdach przydrożnych.

- Zobaczę, co tu można dostać do jedzenia, i przyniosę ci coś do pokoju - zaofiarował się Caine, stropiony perspektywą spędzenia nocy w jednym łożku z Dianą. Będzie przez najbliższe godziny musiał udawać starszego brata. Obiecał sobie przecież solennie, że jej nie tknie. - Na co masz ochotę?

- Wszystko jedno. Byle szybko i żeby dało się zjeść.

Kiedy Caine wyszedł, rozejrzała się ponownie po pokoju. Nie jest tak źle, powtarzała sobie bez przekonania, jeśli przymknąć oczy. Przynajmniej ciepło.

Zdjęła płaszcz i poszukała wzrokiem szafy. Wyposażenie nie uwzględniało takich ekstrawa-

gancji, rzuciła go więc na komodę i zzuła botki. Miała wielką ochotę na gorącą kąpiel, postanowiła jednak jeszcze z tym zaczekać.

Ułożyła się wygodnie na łóżku. Może włączyć telewizor? Dopiero teraz zauważyła małą czarną skrzynkę obok odbiornika. Przyjrząwszy się uważniej urządzeniu, doszła do wniosku, że to rodzaj licznika przyjmującego ćwierćdolarówki. Przypomniała sobie, że recepcjonista wspominał o płatnych filmach, i postanowiła sprawdzić, jak działa intrygująca maszyna. Może powinni urządzić sobie maraton filmowy, w ten sposób łatwiej im będzie spędzić noc we wspólnym pokoju. Muszą pamiętać, że obydwójce są prawnikami i tylko prawnikami, a nie kobietą i mężczyzną.

Postępując zgodnie z instrukcją na czarnej skrzynce, wrzuciła do niej trzy dwudziestopięciocentówki, przełączyła telewizor na właściwy kanał i na powrót ułożyła się wygodnie na łóżku. Przez chwilę patrzyła na ekran z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom, po czym ryknęła głośnym, histerycznym śmiechem. Ze wszystkich moteli w całym Massachussetts musieli trafić akurat na taki, w którym są różowe ściany i także filmy.

Właśnie wyłączyła telewizor, kiedy wrócił Caine.

- Wiesz, jakie oni tu mają filmy? - zapytała, zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi.

Caine otrzepał się z śniegu niczym pies.

- Owszem. Chcesz jeszcze jedną dwudziestopięciocentówkę?

- Bardzo dowcipne. Straciłam przed chwilą siedemdziesiąt pięć centów, żeby zobaczyć fragment pornosu. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby za chwilę pojawiła się tu obyczajówka.

- W taką pogodę? - zdziwił się Caine, stawiając na stole dwie torby z jedzeniem.

- To kolacja tak pachnie?

- Powiedzmy. Prosiłem o coś na szybko, ale czy da się to zjeść, to inna sprawa. Ty pierwsza.

- Młoda prawniczka otruta w hotelu - mruknęła Diana, rozwijając hamburgera.

- Przyniosłem też frytki. - Caine zerknął do torby. - Chyba to są frytki. - Mam też wino i kawę. - Wyjął zamknięte kubki jednorazowe i butelkę. - Czerwone, to jedno da się o nim powiedzieć na pewno.

- Mamy pić z butelki?

- Sprawdzę w łazience, może są jakieś szklanki. Nie rozboleł cię jeszcze żołądek?

- Nie. - Diana odważyła się spróbować frytek. - Dalej tak pada?

- Jeszcze gorzej. - Caine wrócił z dwoma plastikowymi szklankami.

- Może obejrzymy wiadomości - zapropono-

wała, siadając na łóżku. - Jeśli na tym da się je oglądać.

Caine ze śmiechem sięgnął po swojego hamburgera.

- Biedna Diana. To musi być dla ciebie prawdziwy szok.

- Nie jestem zaszokowana tylko zaskoczona - sprostowała z godnością. Upiła łyk wina, skrzywiła się i upiła ponownie. - Niezłe.

- Najlepsze, jakie było. Dolar pięćdziesiąt dziewięć butelka.

- Caine? Musimy porozmawiać.

Wiedział, że to go czeka. Po drodze z restauracji wszystko już sobie zaplanował.

- Nie śpię na podłodze - oznajmił stanowczo.

- Jest jeszcze wanna.

- Oczywiście. Jeśli tylko masz ochotę.

- Widzę, że galanteria wobec dam nikogo już nie interesuje - westchnęła.

- Mamy ogromne łóżko - zaczął Caine z pełnymi ustami. - Jeśli nie chcesz uczynić z niego innego użytku poza spaniem.

- Nie chcę.

O taką właśnie odpowiedź mu chodziło. Jeśli obróć wszystko w żart, może przetrwają jakoś tę noc.

- Ty możesz spać po jednej stronie, ja po drugiej - dokończył, przekonując sam siebie, że to zupełnie proste i oczywiste rozwiązanie.

Prowadził przez dwie godziny w najgorszej zawiei, nie może teraz odmówić mu godziwego wy-poczynku, pomyślała, a głośno spytała:

- Ty śpisz po swojej stronie, ja po swojej?

Caine nachylił się, by dolać jej wina.

- Skoro nalegasz. Nie każ mi w znowu powta-rzać kwestii Clarka Gable'a.

- Kwestii Clarka Gable'a? - Diana zmarszczy-ła czoło, po chwili parsknęła śmiechem. - A tak Claudet Colbert, *Ich noce*.

- Właśnie. Pamiętasz? Prześcieradło dzielące pokój i rozmowy o burzeniu murów Jerycha. - Caine wzruszył ramionami. - Powiedziałem ci kiedyś, ja mogę poczekać. Potrafię być cierpli-wy.

Wstał i przeczesał włosy palcami.

- Pójdę się wykapać, a ty kładź się już spać, masz za sobą męczący dzień.

- Zostawić zapalone światło?

- Nie. W tym pokoju trudno nie trafić do łóżka. Dobranoc, Diano. - Odwrócił się szybko, walcząc z pragnieniem, by wziąć ją w ramiona.

- Dobranoc.

Kiedy usłyszała wodę puszczaną do wanny, wstała z łóżka. Ty idiotko, wyrzucała sobie. Prze-cież niczego bardziej nie pragniesz, niż kochać się z nim.

Klnąc pod nosem, krążyła chwilę po pokoju.

Wreszcie zgasiła światło, położyła się i naciągnęła kołdrę na głowę.

Caine budził się powoli. Tuż przy sobie czuł coś ciepłego, miękkiego. Diana, jej zapach. Przygarnął ją bliżej i zaczął przesuwać dłońią po jedwabiu koszuli, a potem po delikatnej, aksamitnej skórze. Słodki sen. Szepcząc jej imię, odwrócił się i zaczął całować jej usta. Sen trwał, pocałunek także. Caine nie myślał już o tym, co sobie obiecywał. Czuł palce Diany wpijające się w jego skórę, słyszał jej ciche pomrukiwanie. Obydwoje zapomnieli o wszystkim, dając się ponieść rozkoszy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Diana z trudem otworzyła oczy. Leżała na środku łóżka. Przytulony do niej Caine ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi, oddychał ciężko.

Nagle ocknęła się z rozkosznego odrętwienia. Szybko przeturlała się na swoją połówkę.

- Jak mogłeś?

Caine uniósł głowę i spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Co?

- Dałeś słowo! - Zaczęła gorączkowo szukać w pościeli swojej koszuli.

Nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Diano.

- Powinnaś była wiedzieć, że nie można ci zaufać - fuknęła, wciągając koszulę i wyskoczyła z łóżka. - Nie wiem, dlaczego dałam się nabrać na ten układ.

- Układ?

- Ja na swojej połówce, ty na swojej - wspomniała mu z goryczą. - Ty i te twoje cholerne mury Jerycha.

Zakłopotany, przesunął dłonią po czole.

- Zwariowałaś?

- Najwidoczniej - srożyła się - skoro uwierzyłam, że wiesz, co to jest zwyczajna przyzwoitość.

- Poczekaj chwilę. - W półmroku przedświt widział zaledwie jej sylwetkę i miotające wściekle błyski oczy. Zły nie mniej niż ona, poderwał się z łóżka. Piękny koniec namiętnej nocy, pomyślał, klnąc w duchu.

- Żadne zaczekaj, żadne zaczekaj - awanturowała się Diana. - To było wstrętne.

Caine'a ogarnęła furia.

- Nie myślałaś tak jeszcze przed chwilą.

Odrzuciła głowę do tyłu. Nie, nie myślała tak przed chwilą. Przed chwilą w ogóle nic nie myślała. Czuła tylko na sobie ciepło jego dłoni i pragnęła go tak, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Nie miałeś prawa!

- Nie miałem prawa, tak? A ty?

- Ja na wpół spałam. -

- Do ciężkiej cholery, ja też, Diano! Stało się. Nie planowałem tego.

- Nie, nie można teraz powiedzieć: stało się.

- A jednak stało się. - Zaciskając zęby z wściekłości, założył spodnie i koszulkę. Może i zawinił, ale nie był w tej winie osamotniony. - Nawet nie wiem, jak to się zaczęło, ale wiem jedno, zapomniałaś się dokładnie tak samo jak ja.

Ta prawda ją zaboląła i przeraziła.

- Chcesz mi wmówić, że nie wiedziałeś, co robisz? - krzyknęła. - Że nie planowałeś tego?

- Twoim zdaniem zaplanowałem burzę śnieżną? To moja wina, że w tym przybytku mieli tylko jeden wolny pokój? I że ten cholerny materac zapada się na środku łóżka?

- Doskonale wiesz, o czym mówię - oznajmiła zimno. - I czego żałuję.

W pokoju zapadła martwa cisza. Diana ujrzała w oczach Caine'a wściekłe błyski, zaproszenie do walki, które z rozkoszą podjęła.

- Niczego nie żałujesz, podobnie jak ja. - Caine założył płaszcz, trzasnął drzwiami i tyle go widziała.

Stała na środku pokoju, zaciskając dłonie. Trzęsła się ze złości. Jak śmiał! Zaufała mu, a on ją oszukał, zwiódł. Sprawił, że czuła się cudownie.

Z cichym jękiem padła na łóżko i skuliła się pod kołdrą. Nie, nie! powtarzała sobie. To nie powinno być się zdarzyć. Nie może tracić głowy dla kogoś, kto co tydzień ma inną dziewczynę, kto idzie do łóżka, z kim chce i kiedy chce.

Gdzie się nie obróci Caine, wszędzie Caine. To on niemal zmusił ją, żeby się pogodziła z Justinem. On pomógł jej zrobić pierwszy krok na drodze do zawodowej samodzielności, kiedy wróciła do Bostonu, a teraz próbuje rozbroić ją do końca, zmusza do ujawniania najskrytszych uczuć.

Zacisnęła powieki i zagryzła wargi. Nie, nie pozwoli mu na to. Przez całe życie ktoś inny decydował o jej losie. Dość tego.

Z drugiej strony zawiniła, jeśli w ogóle można mówić o winie, w tym samym stopniu, co Caine. Chociaż na wpół śpiąca, wiedziała, co robi. Jak on dała się ponieść rozkoszy. A potem zachowała się jak ostatnia hipokrytka, miotając oskarżenia i zrzucając całą odpowiedzialność na Caine'a.

Odgarnęła włosy z czoła i rozejrzała się po pustym pokoju. Co teraz? Tak, musi go przeprosić, przyznać, że nie miała racji. Nawet jeśli Caine nie będzie chciał przyjąć jej przeprosin, musi to zrobić.

Z ciężkim westchnieniem podniosła się z łóżka. Weźmie prysznic, ubierze się i poczeka, aż Caine wróci.

Dwie godziny później nadal go nie było. Gdzie on się podział? - pytała samą siebie po raz setny, wyglądając przez okno, za którym sypał śnieg z tą samą co poprzedniego dnia intensywnością. Chciała wyjść, szukać go, ale Caine, wychodząc, wziął ze sobą klucz od pokoju. Mało prawdopodobne, by zaspany recepcjonista miał zapasowy.

Specjalnie to robi. Chce mnie ukarać, pomyślała ze złością. Pewnie siedzi teraz w restauracji i pałaszuje śniadanie, kiedy ja umieram z głodu. Była

tak wściekła, że zapomniała już o wyrzutach sumienia.

Zgrzytając zębami, chwyciła teczkę i rzuciła ją na środek łóżka. Nie będzie przejmować się Cainem MacGregorem. Zajmie się pracą i przeczeka zawieję. A Caine może w ogóle nie wracać. Wszystko jej jedno. Wyjęła papiery i zaczęła robić notatki.

Minęła jeszcze godzina, kiedy wreszcie usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Odłożyła notes i wyprostowała się na łóżku. Caine w ani trochę nie lepszym usposobieniu niż trzy godziny wcześniej spojrzał na nią przelotnie i zdjął zaśnieszony płaszcz.

Dianie dawno już minęła ochota na przeprosiny i wyrażanie skruchy.

- Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? - natarła. Caine rzucił płaszcz na krzesło.

- Zawieja nie uspokoi się jeszcze przez kilka godzin. Nie mają żadnego wolnego pokoju, a najbliższy motel jest dziesięć mil stąd - oznajmił, zapalając papierosa.

- Zbieranie tych informacji zajęło ci aż trzy godziny? - parsknęła. - Nie przyszło ci do głowy, że siedzę tutaj jak więzień?

Spojrzał na nią lekko zdziwiony.

- Nie mogłaś znaleźć drzwi?

- Zabrałeś ze sobą klucz!

Caine wzruszył ramionami, sięgnął do kieszeni i położył klucz na stole.

- Kupiłem szczoteczki do zębów - mruknął, rzucając jej jedną.

- Dziękuję - powiedziała lodowatym tonem. Nie przeprosi go, nawet gdyby mieli tkwić w tym obrzydliwym pokoju choćby i cały miesiąc, przyrzekła sobie w duchu.

- Ponieważ wszystko wskazuje na to, że spędzimy tu kolejną noc - zaczęła - musimy poczynić pewne ustalenia.

- Ustalaj sobie, co chcesz, ja idę się ogolić. - Caine wziął torbę z zakupami i ruszył w stronę łazienki.

- Chwileczkę. Najpierw porozmawiamy. - Ze-skoczyła z łóżka i położyła mu rękę na piersi, zatrzymując w pół drogi.

- Nie popychaj mnie - warknął.

- Nie popychać! Myślisz, że możesz sobie tu wrócić, jak gdyby nigdy nic, i najspokojniej w świecie oznajmić, że zamierzasz się ogolić? A to, co zaszło rano, to drobiazg, tak? Nieopatrzne omsknięcie?

- Może tak właśnie należy na to spojrzeć - oznajmił ze spokojem.

- O nie, mój drogi. Nie pójdziesz się golić, dopóki nie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

- Wysłuchałem już rano. - Ominął ją i ruszył w stronę łazienki.

- Nie waż się wychodzić. - Diana w porywie furii chwyciła go za rękę.

Caine odwrócił się, złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Mam tego dość! - krzyknął. - Nie będę stał spokojnie i wysłuchiwał, jak ciskasz pod moim adresem absurdatne oskarżenia! Nie musiałem knuć żadnych planów, żeby zaciągnąć cię do łóżka, rozumiesz? Chciałaś tego tak samo jak ja i oboje doskonale o tym wiemy. Tylko ty nie masz dość odwagi, żeby się do tego przyznać.

- Nie będziesz mi mówił, do czego się przyznawać. Rano spałam i...

- Teraz nie śpisz?

- Nie, do diabła! Teraz nie śpię.

- Świetnie. - Caine jednym zdecydowanym ruchem przygarnął ją do siebie i zaczął całować, nie zważając na protesty.

Spleceni w uścisku padli na łóżko. Granica między wściekłością a pożądaniem okazała się bardzo cienka.

Pół godziny później, kiedy oboje leżeli przytuleni do siebie, wyczerpani miłością, Caine uniósł głowę.

- Wiem, że to zabrzmiało nieprzekonująco, po tym, co wykrzyczyliśmy sobie rano, ale naprawdę niczego nie planowałem.

- Caine. Przepraszam, nie miałam racji - przy-

znała, wodząc palcami po jego wargach. - Wiedziałam o tym i nie mogłam się pohamować. Gdybym przestała na ciebie wrzeszczeć, musiałabym przyznać, że cię pragnę. - Położyła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

Caine z westchnieniem pogłaskał ją po włosach.

- Kiedy wróciłem tutaj, przysięgałem sobie, że cię nie dotknę.

- A ja chciałam cię przeprosić.

- Całkiem dobry pomysł - przyznał. - Nikogo nigdy nie pragnąłem tak jak ciebie. Ty chyba też czujesz to samo - powiedział ostrożnie. - Nie chcę cię skrzywdzić. Wierzysz mi?

Chciała coś powiedzieć, ale wiedziała, że Caine nigdy nie zrozumie jej wątpliwości.

- Żadnych pytań. Wystarczy - uciszyła go pocałunkiem.

- Na razie - zgodził się, przytulając ją mocniej.

- Wiesz, zaczynam lubić ten pokój - mruknął, zerkając na lustro na suficie.-- Wspaniały stąd widok.

Diana uśmiechnęła się krzywo.

- Teraz powinienes poprosić mnie o dwudziestopięciocentówkę.

- Nie - powiedział, obracając się i całując ją w szyję. - Zawsze wolałem działać, niż się przyglądać.

- Caine. Przepraszam, że poruszam taki prozaiczny temat, ale umieram z głodu.

- Ummm. - Usta Caine'a wędrowały po jej ramieniu.

- Jestem bardzo głodna. Naprawdę.

- Jak bardzo?

- Tak bardzo, że gotowa jestem zjeść ostatniego wczorajszego hamburgera.

- To brzmi poważnie - mruknął, odrzucając kołdrę. - Dobrze, pójdę ci coś kupić.

- Dziękuję uprzejmie. - Usiadła na łóżku. Ledwie przestała czuć Caine'a blisko siebie, wróciło napięcie. Nie myśleć o tym, nakazała sobie. Jest przecież dorosła, a dorośli ludzie od czasu do czasu idą ze sobą do łóżka. To proste.

- Pójdę z tobą.

- Pogoda jest okropna.

- Muszę stąd wyjść na chwilę. Ten róż zaczyna mnie przytłaczać.

Mnie też, pomyślał Caine. Coś się zmieniło. Nie potrafił już panować nad swoimi uczuciami, stały się zbyt silne, by się ich nie obawiać. Diana jest krucha, wrażliwa, czuł się za nią odpowiedzialny, a wcale nie miał pewności, czy w jest w stanie przyjąć na siebie taką odpowiedzialność. To tylko pożądanie, tłumaczył sobie w duchu. Pożądanie, które nie powinno komplikować mu życia.

- Załóż rękawiczki - powiedział, kiedy byli już gotowi do wyjścia.

Już na zewnątrz Diana wciągnęła głęboko

mroźne powietrze, rozejrzała się po zaśnieżonym parkingu i omiotła wzrokiem pawilon motelu.

- Całkiem miło - powiedziała, kuląc się na wietrze.

- Będzie jeszcze milej, jak przejdiesz kilkadziesiąt metrów.

Brnęli w kierunku restauracji ścieżką wydeptaną przez gości pośród wysokich na ponad metr zasp. W pewnej chwili Diana wpadła po kolana w śnieg, zachwiała się i mocno chwyciła ramienia Caine'a.

- Na pewno nie chcesz wrócić do pokoju? - zawołał, przekrzykując wycie wiatru.

- Żartujesz? To tam? - wskazała na niewielki budynek restauracji.

- Aha. Ze względu na zamieć kuchnia działa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystkie trzydzieści pięć pokoi zajętych.

- Jesteś niewyczerpanym źródłem informacji. Chyba zjem dwa hamburgery.

- Pomówimy o twoich skłonnościach samobójczych już na miejscu. Uważaj. - Przytrzymał ją za łokieć. - Tu gdzieś pod śniegiem są stopnie.

Zadyszani weszli do wnętrza cuchnącego starym olejem, papierosami i czymś, co mogło przypominać bekon. W dużej sali stało kilkanaście zniszczonych stolików z blatami z laminatu, przy nich wyściełane ceratą krzesła, W głębi sali kró-

lował bar z wysokimi stołkami, a na ladzie patera ze sprawiającymi wrażenie mocno czerstwych pączkami.

- To znowu pan? - Kelnerka przywitała Caine'a zalotnym uśmiechem, a potem zwróciła się do Diany - Niech pani usiądzie i ogrzeje się, skarbie. Zaraz podam kawę.

- Proszę. - Wobec tak miłego powitania Diana zapomniała o pierwszym, odstręczającym wrażeniu.

- Kawa u nas jest zawsze - oznajmiła kelnerka, stawiając na barze kubki. - Niech państwo piją. Jestem Peggy. Podać coś do jedzenia? Mamy zupę jarzynową. Świeżutka.

- Może być - zdecydował Caine, siadając na wysokim stołku.

- Na początek - zgodziła się Diana, studiując ręcznie pisane menu.

- Dwie zupy, Hal - zawołała Peggy, nachylając się do okienka. - Dobrze dzisiaj idą BLT, kanapki z bekonem, sałata i pomidorem - dodała, zwracając się na powrót do gości.

- Niech będą BLT - zgodził się Caine, zamknął kartę i pocałował Dianę w ucho. - Jedz, na co masz tylko ochotę. Jak już zjesz wszystko, co tu mają, zawsze jeszcze możemy karmić się cukierkami i oranżadą.

- Jakiś ty pomysłowy - szepnęła Diana, muskając wargi Caine'a.

- Państwo z daleka? - zagadnęła Peggy.

- Z Bostonu - powiedział Caine i w tej samej chwili usłyszał ciche jęknięcie.

- Charlie też jechał do Bostonu. - Peggy poklepała ze współczuciem dłoń młodego człowieka siedzącego obok Diany. - Ze swoją panną młodą. - Tu mrugnęła porozumiewawczo do Caine'a.

- To miała być nasza podróż poślubna - uzalił się Charlie znad kubka z kawą. - Lorie weszła do pokoju, spojrzała i rozpłakała się.

- Och. - Diana uśmiechnęła się współczująco.

- Rozumiem, że spodziewała się czegoś zupełnie innego.

- Mieliliśmy zarezerwowany pokój w Sheratonie. - Charlie podniósł głowę, poprawił okulary.

- Lorie jest taka wrażliwa.

- No tak - bąknęła Diana. Charlie przypominał trochę małego chłopca, który nie znalazł pod choinką wymarzonego roweru. - Może mógłbyś tchnąć w wasz pokój trochę romantyzmu - proponowała bez wielkiego przekonania.

- W taki pokój? - Charlie na powrót zapatrzył się w swoją kawę.

- Świece - ciągnęła Diana. - Może w tym motelu ktoś ma świece.

- Jasne. Są w magazynku - przytaknęła Peggy i zamasyżuje przetarła zmywakiem kontuar. - Twoja panna młoda lubi kolacje przy świecach?

- Może - zasepił się jeszcze bardziej.

- Na pewno lubi. - Diana przysunęła sobie mi-
seczkę z zupą i spojrzała uważnie na Charliego.
- Która kobieta nie lubi kolacji przy świecach? Do
tego kwiaty. Znajdziemy gdzieś kwiaty?

- Mam plastikowe ponsycje na zapleczu -
ucieszyła się Peggy. - Używamy ich w czasie Bo-
żego Narodzenia. Naprawdę ładne.

- Wspaniale.

- Myślisz, że się jej spodoba? - zapytał Char-
lie, spoglądając niepewnie na Dianę.

- Myślę, że będzie wzruszona.

- Cóż.

- Zaraz je przyniosę. - Peggy wytarła dłonie
w fartuch i znikła na zapleczu.

- A pan co myśli? - zagadnął Charlie Caine'a.

- W takich kwestiach zdaję się całkowicie na
opinię kobiet - odparł, usiłując zachować kamien-
ną twarz.

- Do dzieła, chłopie - odezwał się ktoś z dru-
giego końca kontuaru.

- Tak. - W Charliego wstąpił nowy duch.
Dziarsko zsunął się ze stołka akurat w momencie,
kiedy za barem pojawiła się Peggy z naręczem
kwiatów.

- Trzymaj, skarbie. - Podała mu świece
i kwiaty. - Przyozdób pokój, zobaczysz, że twoja
żona od razu poczuje się lepiej.

- Dzięki. - Charlie uśmiechnął się szeroko.
- Powodzenia - zawołała za nim Diana i zerknęła na Caine'a. - To takie słodkie - dodała.
- Czy ja coś mówię?
- Nie, nic nie mówisz, ty cyniku. Jedz swoją zupę. Są jeszcze ludzie, którzy mają zrozumienie dla romantycznych uczuć - oznajmiła wyniośle.
- Mam kupić jeszcze jedną butelkę wina? - zapytał, unosząc do ust jej dłoń.
- Ani mi się waż - odparła ze śmiechem i pocałowała go w policzek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Diana siedziała za swoim biurkiem pochłonięta pracą. Poświęciła już wiele czasu sprawie pani Walker. Historia okazała się aż nazbyt typowa. Irene Walker wyszła za mąż jako młoda dziewczyna, świeżo po college'u. Nigdy nie pracowała, mąż jej nie pozwalał. Prowadziła dom, gotowała, dbała o pana Walkera. I nagle, wraz z rozpadem małżeństwa, znalazła się na lodzie: bez własnych dochodów, bez zawodu, za to z małym dzieckiem, które musiała utrzymać. Diana zamierzała żądać dla niej wynagrodzenia za cztery lata ciężkiej pracy w charakterze kucharki, praczki, sprzątaczk i gospodyni. Fakt, że Irene była bita przez męża, utwierdzał ją tylko w przekonaniu, że sprawiedliwości musi stać się zadość.

I stanie się. Walker odpowie za to, jak traktował żonę. Żeby tylko Irene zgodziła się chodzić do psychoterapeuty.

Diana pokręciła głową. Nie powinna aż tak angażować się emocjonalnie, tym bardziej że już tkwiła po uszy w sprawie Chada Rutledge'a. W tej sytuacji gotowa była nie wytrzymać napięcia.

Chad, pomyślała, przyciskając mocno powieki palcami. Jego sprawa nie wyglądała tak prosto jak w przypadku Irene Walker. Diana rozmawiała już z połową ludzi z listy, którą jej dał, ale nie znalazła wśród nich żadnego przekonującego świadka. Musi coś mieć, nie można przecież oprzeć się wyłącznie na relacji Chada i własnych odczuciach, w ten sposób nie zdoła podważyć zeznań Beth.

Pozostało jeszcze kilkoro znajomych Chada, z którymi powinna porozmawiać. W dwóch przypadkach dysponowała tylko imionami, co oznaczało, że będzie musiała zabawić się w detektywa. Kto powiedział, że prawo to tylko kodeksy i opasłe akta? Uśmiechnęła się chyba po raz pierwszy tego dnia.

- Diano?

Podniosła głowę, budząc się z zamyślenia.

- Lucy.

- Chciałabym już wyjść, jeśli nie jestem ci potrzebna. Caine dzwonił pół godziny temu, powiedział, że zajrzy tu na chwilę po spotkaniu na mieście.

- Możesz iść, Lucy, ja mam jeszcze trochę pracy.

- Chcesz, żebym zrobiła ci kawę, zanim wyjdę?

- Słucham? Nie. - Diana uśmiechnęła się. -

Dziękuję. Miłego wieczoru.

- Wzajemnie. Powiedz Caine'owi, że zostawiłam mu wiadomość na biurku.

Ledwie Lucy zdążyła wyjść, w gabinecie Caine'a odezwał się telefon. Diana zerknęła na zegarek. Szósta. Kancelaria o tej porze oficjalnie była już zamknięta. Wzruszywszy ramionami, poszła odebrać.

- Biuro Caine'a MacGregora - powiedziała, szukając po omacku włącznika lampy.

- Jeszcze nie wrócił? - zagadnął tubalny głos.

- Przykro mi, ale nie. - Diana sięgnęła po długopis. - Mam mu coś przekazać?

- Gdzie się ten chłopak podziewa! - huknął zniecierpliwiony głos. - Całe popołudnie usiłuję się z nim porozumieć.

- Przepraszam. Pan MacGregor ma spotkanie na mieście. Proszę zostawić numer telefonu, odzwoni do pana jutro.

- Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny - mruknął głos.

- Słucham?

- Cholera!

Zdziwiona Diana uniosła brwi.

- Proszę zostawić wiadomość i numer telefonu, przekażę je panu MacGregorowi.

- To nie Lucy - odkrył nagle głos. - Gdzie do diabła jest Lucy?

Rozbawiona i zaintrygowana Diana odłożyła pióro.

- Lucy już wyszła. Tu Diana Blade, współniczka pana MacGregora. Jeśli mogłabym...

- Siostra Justina! - zadudnił głos. - Niech mnie kule biją. Dawno już chciałem zamienić z tobą parę słów, dziewczyno. Słyszałem, że pracujesz razem z Cainem.

- Tak - przytaknęła coraz bardziej zdziwiona.
- Pan zna mojego brata?

- Czy go znam? - Rozległ się głośny śmiech.
- Oczywiście, że go znam, dziewczyno. Oddałem mu przecież swoją jedynaczkę, to chyba muszę go znać.

- Och. - Dianę dopiero teraz olśniło. Czy Caine nie ostrzegął jej przed Danielem MacGregorem? - Dzień dobry, panie MacGregor. Wiele o panu słyszałam.

- Ba! Chyba nie wierzysz w to, co wygaduje mój synalek?

Zaśmiała się beztrósco.

- Caine mówi o panu w samych superlatywach. Przykro mi, że nie ma go w pracy.

- Trudno. - Przerwał, jakby coś ważył w myślach. - A więc też jesteś prawnikiem, tak?

- Tak, skończyłam Harvard w kilka lat po Caine'ie.

- Jaki ten świat mały. Rena mówiła mi, że jesteś bardzo podobna do Justina. To porządny chłopak. Dobra krew, a dobra krew to rzecz na najważniejszą, co?

- Chyba tak. - Diana ściągnęła brwi.

- Żadne chyba, tylko na pewno. Niedługo mam urodziny - oznajmił Daniel ni stąd, ni zowąd.

- Najlepsze życzenia.

- Nie lubię zamieszania, ale żona uparła się wydać przyjęcie. Nie mogę sprawić jej przykrości.

- Oczywiście - zgodziła się z uśmiechem. - Nie może pan sprawić jej przykrości.

- Tęskni za dziećmi, ale co zrobić, kiedy wyfrunęły z domu - utyskiwał Daniel. - A wnuków nie widać.

- Tak - mruknęła Diana, nic mądrzejszego nie przychodziło jej do głowy.

- Wnuków, które mogłaby rozpieszczać w jesieni życia. - Daniel wpadł w sentymentalny patos. - Ale czy to dzieci myślą o potrzebach rodziców?

- Cóż.

- Anna chce, żeby cała rodzina spotkała się w przyszły weekend - oznajmił Daniel, nie oczekując odpowiedzi na swoje pytanie. - Pomyśleliśmy, że powinnaś przyjechać z Cainem.

- Dziękuję, panie MacGregor, ale...

- Żaden pan, Daniel, dziewczyno, w końcu należysz do rodziny. - Daniel uśmiechnął się chytrze, rad, że udało mu się tak dwuznaczne stwierdzenie. - A rodzina powinna trzymać się razem.

- Z pewnością - zaśmiała się Diana. - Dobrze, Danielu, będę na twoich urodzinach.

- No to się dogadaliśmy. Powiedz Caine'owi, że czekamy na was w piątek wieczorem. Powiadasz, że też jesteś prawniczką, co? Bardzo dobrze, bardzo dobrze, Diano. Do zobaczenia w piątek.

- Do zobaczenia, Danielu.

Diana odłożyła słuchawkę z dziwnym uczuciem, że zgodziła się na coś znacznie więcej niż urodzinowa wizyta w Hyannis Port. Wszystko wskazywało na to, że Daniel był człowiekiem tak ekscentrycznym, jak głosiła legenda.

Ciekawe, czy Caine jest do niego podobny, zastanawiała się. Bez wątpienia lubił, jak ojciec, dominować w rozmowie. Co Daniel miał na myśli, mówiąc „dobra krew”?

Słyszając skrzypnięcie otwieranych i zamykanych drzwi, Diana wyszła z gabinetu i podeszła do szczytu schodów.

- Cześć.

- Cześć - zawołał Caine, wieszając płaszcz. W jego głosie dało się słyszeć zmęczenie.

- Jak się udało spotkanie?

Caine rozprostował zeszywniałe plecy.

- Trzy godziny z Ginnie Day.

Więcej nie musiał mówić. Diana podeszła do niego i zaczęła masować mu kark.

- Widzę, że masz jej dosyć.

- Owszem - przytaknął z westchnieniem. -

Jest zepsuta, samolubna i próżna. Zachowuje się jak rozkapryszona pięciolatka.

- Urocze popołudnie - mruknęła Diana.

Caine parsknął śmiechem.

- Nie muszę jej lubić. Mam ją bronić. Byłoby mi łatwiej, gdyby Ginnie nie dawała do ręki argumentów oskarżycielowi. Jeśli nadal będzie się tak zachowywała, nie wzbudzi współczucia w przysięgłych. Nie mogę domagać się uniewinnienia. Kiedy powiedziałem to Ginnie, dostała ataku furii i powiedziała, że rezygnuje z moich usług.

- Widząc zaskoczoną minę Diany, Caine ujął jej twarz w dłonie i pocałował. - Przeszło jej po pięciu minutach - wyjaśnił. - Jest nieznośna, ale nie głupia.

- Może ocknęłaby się, gdybyś potraktował poważnie jej pogrożki i zostawił ją samą.

- Ty byś tak zrobiła?

Diana uśmiechnęła się.

- Nie, ale korciłoby mnie. Koniec pracy na dzisiaj?

- Tak. - Caine objął Dianę i przygarnął ją do siebie. - Koniec.

- W takim razie zakładaj płaszcz. Zabieram cię na obiad - powiedziała bez namysłu. Jeszcze kilka tygodni wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, by zaproponować tak spontanicznie wspólne wyjście.

- Potem zamierzam zwabić cię do siebie.

- Naprawdę?
- Naprawdę. Trzymaj. - Ze zdecydowana miną podała Caine'owi płaszcz.
- Podoba mi się twój styl, pani mecenas - powiedział, przyglądając się jej uważnie.
- Niewiele jeszcze widziałeś, MacGregor.

Zaróżowiona od mrozu, z butelką schłodzonego szampana w dłoni Diana otworzyła drzwi swojego mieszkania. Obydwoje odpoczęli podczas obiadu, zapomnieli o pracy, o sprawach, które prowadzili. Byli teraz tylko parą bliskich sobie ludzi.

- Przyniosę kieliszki - oznajmiła, podając butelkę Caine'owi.
- Rozumiem, że chcesz mnie upić.
- Liczę na to - przytaknęła, wracając z wysokimi, wąskimi kieliszkami. - Dlaczego nie otwierasz?

Caine zaczął zdejmować srebrną folię z korka.

- Może nie jestem taki łatwy, jak ci się wydaje.
- Nie? - Odstawiła kieliszki. Tym razem to ona będzie dyktować warunki. Podeszła do Caine'a, zsunęła mu marynarkę z ramion i zaczęła odwiązywać krawat. - Co z szampanem? - zapytała, muskając wargami jego usta.

- To jeszcze nie wypiliśmy? - zdziwił się, otaczając ją ramieniem.
- Wyobraź sobie, że nie. - Odsunęła się

o krok. - Może nalejesz? - mruknęła, rozpinając pierwszy guzik jego koszuli. - Włączę muzykę.

Zrzucając po drodze buty, podeszła do wieży. Po chwili w pokoju rozległy się ciche jak szmer dźwięki bluesa. Diana ściemniła światło, zdjęła blezer.

- Zdaje się, że wpadłem w pułapkę - stwierdził Caine, napełniając kieliszki.

Diana roześmiała się bez trosko.

- Ajakże, wpadłeś w pułapkę. - Usiadła na kanapie i przyciągnawszy Caine, zaczęła całować go w ucho. - Mówiłam ci już, że mnie fascynujesz?

- Nie. Naprawdę? - Chciał ją przytulić, ale mu nie pozwoliła.

- Naprawdę. - Podniosła do ust jego dłoń. Dzisiaj zamierzała być kobietą. Tylko i wyłącznie kobietą, nikim więcej. - Masz takie mocne dłonie. To była pierwsza rzecz, która mnie uderzyła, kiedy cię poznałam - mówiła, całując po kolei wszystkie palce. - I takie piękne usta. Podniecające... I takie delikatne. Mogłabym cię całować całymi godzinami. - Zerknęła na niego znad kieliszka.

- Diano. - Caine znowu próbował przygarnąć ją do siebie, ale mu nie pozwoliła. Upajała się własną, dopiero co odkrytą siłą. Do tej pory zapominała się przy pierwszej pieszczocie Caine'a. Teraz miało być inaczej.

- Lubię twoje oczy - szepnęła. - Lubię jak cie-

mnieja, kiedy mnie pragniesz. Widzę, że mnie pragniesz. Napij się szampana, rozluźnij, odpręż.

Za chwilę zwariuję, pomyślał Caine, usiłując zachować panowanie nad sobą i przejąć inicjatywę.

- Wiesz doskonale, że cię pragnę i że będę cię miał.

- Być może. - Diana z uśmiechem odrzuciła włosy do tyłu. - Kiedy myślę o tobie, myślę o żywiołach. O wietrznej plaży w Comanche, o burzy śnieżnej i różowym pokoju w motelu. - Przesuwała powoli palcem po gorsie koszuli Caine'a i zaczęła rozpinać kolejne guziki.

- Diano... - jęknął.

- Może chcesz jeszcze odrobinę szampana? - zaproponowała, upijając łyk ze swojego kieliszka.

Caine zerwał się z kanapy i chwycił ją za rękę.

- Doskonale wiesz, czego chcę.

- Owszem. Świetny trunek - zauważyła, obracając kieliszek w dłoni. - Zanieś mnie do łóżka - szepnęła. - I kochaj się ze mną.

Caine nie panował już nad sobą. Przyciągnął ją do siebie tak gwałtownie, że kieliszek wypadł jej z ręki i potoczył się po dywanie.

- Nie. Będziemy się kochać tu i teraz - oświadczył, zamykając jej usta zachłannym pocałunkiem.

- Jesteś zadziwiająca, Diano - powiedział zadywany, kiedy ocknął się po kilku minutach.

W spojrzeniu Diany, w jej głosie, kiedy powiedziała, żeby zaniósł ją do łóżka, było coś, co sprawiło, że zupełnie się zapomniał, świat wokół nagle przestał istnieć.

- Dlaczego?

- Tyle w tobie namiętności - mówił, nie przestając jej całować. - I pomyśleć, że potrafisz być taka chłodna, wytworna, dystygowana. Chciałaś doprowadzić mnie do szału, prawda?

Udało się. Odkryła w sobie jeszcze jedną cechę, której wcześniej nie znała.

- I doprowadziłam - oznajmiła z triumfem w głosie.

Caine uśmiechnął się pod nosem.

- Dokończmy szampana, zanim zaniosę cię do łóżka, jak chciałaś. - Napełnił stojący na stoliku kieliszek i podał go Dianie. - Będziemy pili z jednego, drugi straciliśmy.

Upiła łyk musującego, orzeźwiającego wina.

- Smakuje jeszcze lepiej niż przed chwilą - powiedziała, oddając kieliszek Caine'owi.

- Miałaś rację, to świetny trunek. - Ujął dłoń Diany i splótł palce z jej palcami. - Spędźmy ten weekend razem, u mnie. Będziemy jeść, kochać się i oglądać stare filmy. Czekają nas ciężkie tygodnie, nasze sprawy wchodzą na wokandę. Potem długo już możemy nie mieć czasu dla siebie.

Propozycja brzmiała nęcąco - i groźnie. Ozna-

czała kolejny krok ku zaangażowaniu. Diana już chciała odmówić, ale nie potrafiła się oprzeć perspektywie spędzenia dwóch dni z Cainem.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden pretekst, który... - Nagle uderzyła się w czoło. - Twój ojciec!

Caine parsknął śmiechem.

- Co ma do tego mój ojciec?

- Dzwonił. Zupełnie zapomniałam. Zdaje się, że mamy stawić się u dworu.

- Tak? - Caine przesunął dłonią po ramieniu Diany.

- Zostaliśmy zaproszeni na weekend - wyjaśniła ze śmiechem.

- Ten weekend?

- Twój ojciec ma urodziny. - Diana nachyliła się i napełniła kieliszek. - On nie chce zamieszania, rozumiesz, ale twoja mama.

- Oczywiście. Mój cichy, skromny staruszek najchętniej potraktowałby ten dzień jak każdy inny dzień w roku. Godzi się na „zamieszanie” tylko przez wzgląd na matkę. Prezenty też przyjmie tylko dlatego, żeby nie zrobić przykrości mamie. Gdyby to od niego zależało, najchętniej zapomniałby o urodzinach.

Diana zachichotała, poddając się z rozkoszą pieścizotom Caine'a.

- To bardzo miło z jego strony, że pomyślał

o zaproszeniu mnie. Chętnie tam pojedę. Sympatycznie się z nim rozmawiało, mimo że rozmowa była trochę dziwna.

- Co masz na myśli?

- Hmm. Mówił coś o Justinie i o dobrej krwi. A potem powtórzył kilka razy, jak to dobrze, że jestem prawniczką.

- Rozumiem - mruknął Caine, biorąc ją w ramiona. - Czy Rena opowiadała ci, jak poznała Justina?

- Słucham? - Z trudem mogła się skoncentrować na słowach Caine'a. - Nie, nie opowiadała. Kochaj się ze mną, Caine.

Był ciekaw, jak Diana zareaguje na wieść, że to ojciec doprowadził do spotkania Reny i Justina w przekonaniu, że są dla siebie stworzeni. Daniel MacGregor z przyjemnością wyswatałby teraz swojego najmłodszego syna, gdyby znalazł odpowiednią kandydatkę, a Diana była więcej niż odpowiednią kandydatką. Ciekawe, co na to Diana. Co na to on sam, myślał, całując ją w usta.

Teraz nie czas na podobne rozważania, uznał, niosąc Dianę do łóżka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Diana siedziała za biurkiem i wpatrywała się nieruchomo w buzujący na kominku ogień. Przed nią leżała teczka z aktami sprawy Irene Walker.

Nie była w stanie uwierzyć. Mimo że powtarzała sobie po wielokroć tę rozmowę, ciągle nie mieściło się jej w głowie, że Irene anulowała pozew i wycofała się ze wszystkich zarzutów pod adresem męża.

Diana spojrzała na czek. Otrzymała pełne honorarium, ale wcale jej to nie cieszyło. Irene postanowiła dać Walkerowi jeszcze jedną szansę.

„On żałuje swojego postępowania”. Ciągle jeszcze brzmiał jej w uszach cichy, przepraszający głos Irene. „Obiecał, że to się więcej nie powtórzy”.

Nie powtórzy się, westchnęła Diana i odsunęła teczkę z wypisanym na niej nazwiskiem klientki. Żadnej terapii, wizyt u psychologa, w poradni rodzinnej, ale niezłomna pewność, że „to się nie powtórzy”. Irene Walker żyła w świecie fikcji. Obudzi się z powybijanymi zębami i podbitym, jak już się to zdarzało, okiem.

Niech to diabli! Diana uderzyła pięścią w biurko, gwałtownie odsunęła fotel. Sprawa była wygrana. Tyle pracy, tyle godzin starannych przygotowań, tylko po to, żeby się wycofać. Niedługo Irene wróci do niej i będą musiały zaczynać wszystko od początku.

Stanęła przy oknie i zapatrzyła się na nagie, pokryte śniegiem gałęzie drzew. Jak można kochać takiego człowieka, pomyślała z niechęcią. Żałosne, stracone życie.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, nie odwróciła nawet głowy.

- Proszę.

- Coś nie tak? - zapytał Caine, stając w progu.

- Irene Walker - sarknęła Diana, wracając do biurka. - Pogodziła się z mężem. Idiotka! Facet do niej dzwoni, nalega na spotkanie, przynosi kwiaty, mydli oczy. A ta wierzy, że zaszła w nim cudowna przemiana.

Caine podszedł do biurka, rzucił okiem na czek.

- Może zaszła.

- Kpisz sobie? Dlaczego niby kilka tygodni separacji miałoby uczynić z niego innego człowieka? Nie pierwszy raz się rozstawali.

- Ale nigdy przedtem nie próbowała występować o rozwód. Być może facet się przestraszył i przemyślał swoje postępowanie.

- O tak, z całą pewnością przemyślał - przy-

taknęła z goryczą w głosie. - Przestraszył się więzienia. Straciłby dom, pracę, wszystko. Co zrobił, żeby zasłużyć sobie na wybaczenie? Nic, absolutnie nic. - Diana przegarnęła włosy palcami i zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju. - Nie zgodził się pójść do terapeuty, nie chciał słyszeć o poradni rodzinnej. Irene mówi, że wolał nie wyciągać rodzinnych spraw na światło publiczne. Facet katusze ją na oczach sąsiadów za to, że przypaliła pieczeń, ale nie chce „wyciągać rodzinnych spraw na światło publiczne”, nie pójdzie do specjalisty. A ona. - Diana opadła na krzesło. - Jest beznadziejna. Jak może kochać faceta, który robi sobie z niej worek treningowy?

- Myślisz, że ona go kocha? Naprawdę uważasz, że tu chodzi o miłość?

- A o co innego?

- A chociażby o to, że ta kobieta boi się samodzielności. - Caine przykucnął obok Diany, wziął ją za rękę. - Miłość nie zawsze musi być powodem, dla którego decydujemy się przy kimś trwać.

- Może masz rację, sama już nie wiem - przyznała bezradnie. Przez większość życia pozbawiona miłości, nie rozumiała, co ona oznacza. Wyglądało jednak na to, że miłość potrafi uczynić ze skądinąd inteligentnej osoby kompletną idiotkę. - Jej się wydaje, że go kocha - mruknęła po chwili. - I z tej racji gotowa jest zaryzykować wszystko.

- Jesteśmy prawnikami, nie psychiatrami. Problem Irene Walker już nas nie dotyczy.

- Wiem. - Uścisnęła jego dłoń. - Ale to takie trudne przyjąć, że w żaden sposób nie możemy jej pomóc. Teraz.

- Teraz powinnaś odłożyć jej teczkę ad acta i zapomnieć o całej sprawie. Nic innego ci nie pozostaje.

- Dlaczego nie wybraliśmy sobie jakiegoś łatwiejszego zawodu? - westchnęła Diana. - Z zewnątrz wszystko wydaje się proste: coś jest złe albo dobre, czarne albo białe, wystarczy trzymać się prawa. - Pokręciła głową. - Dopiero kiedy zamiast z artykułami i paragrafami masz do czynienia z żywymi ludźmi, sprawy zaczynają się komplikować. Chciałam jej pomóc. Do licha, Caine, naprawdę chciałam jej pomóc.

- Nie możesz pomóc komuś, kto nie jest gotów przyjąć twojej pomocy.

- A Irene Walker nie była gotowa - przytaknęła. Jak ma wytłumaczyć Caine'owi, że ta pierwsza samodzielna sprawa stanowiła jej porażkę i zawodową, i osobistą? Czuła, że uwolnienie Irene od męża tyrana będzie w pewnym sensie symbolem jej własnego wyzwolenia z innych, ale równie krępujących zależności. - Ja byłam gotowa, żeby jej pomóc. Potrzebowałam tej sprawy.

- Nie powinnaś przeprowadzać analogii między nią i sobą.

Diana natychmiast zamknęła się w swojej skorupie. Caine widział to i powinien właściwie czuć ulgę, ale, ku jego zaskoczeniu, wcale nie było mu lekko.

- Muszę znaleźć własną drogę — powiedziała sucho.

- Każdy musi - przytaknął. Mógł poprzestać na tym stwierdzeniu, ale mówił dalej, próbując dotrzeć do Diany: - Broniełem kiedyś smarkacza, który napił się, przyćpał i w tym stanie siadł za kierownicą. Groziło mu kilka lat. Udało mi się uzyskać najniższy wymiar kary. Kilka miesięcy później wjechał na słup telefoniczny. Wszyscy zginęli. Chłopak miał siedemnaście lat.

- Och, Caine. - Diana uściśnęła jego dłoń.

- Wszyscy dźwigamy na barkach jakiś ciężar. Możemy tylko robić, co do nas należy, i wierzyć, że się nie mylimy. Kiedy klient rezygnuje, musisz zapomnieć o sprawie.

- Masz rację. - Pierwsza złość już jej minęła.

- Wiem, że masz rację. - Podeszła do biurka i wrzuciła teczkę Walker do szuflady.

- Lucy mówiła mi, że na przyszły tydzień zapisała dwóch nowych klientów.

- Owszem. Pracowałam dla nich jeszcze u Barclaya, widocznie byli zadowoleni - powiedziała, usiłując otrząsnąć się z przygnębienia.

- Nie cieszysz się?

- Cieszę się. Wybrali jednak mnie, nie Barclaya. Caine podszedł do Diany i położył jej ręce na ramionach.

- Będziesz bardzo zajęta.

- Mam nadzieję - powiedziała, obejmując go w pasie. - Jeśli zamierzam być najlepszym adwokatem na Wschodnim Wybrzeżu, potrzebuję klientów.

- To pomaga w karierze - przytaknął, całując ją w nos. - Tymczasem mamy piątek - zerknął na zegarek - szesnasta czterdzieści siedem.

- Tak późno? - zdziwiła się. - Tak się zamysliłam, że nie zauważyłam, kiedy minął dzień.

- Skończyłaś myśleć na dzisiaj?

- Zdecydowanie.

- Więc jedźmy. Ojciec będzie zrzędził cały wieczór, jeśli się spóźnimy.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że boisz się ojcowskiej bury? - zapytała ze śmiechem.

- Nie znasz mojego ojca - ostrzegł ją Caine, otwierając drzwi.

Diana zdążyła odprężyć się w drodze do Hyanis Port. Caine miał rację, powinna zapomnieć o sprawie i cieszyć się na spotkanie z Justinem i z rodziną MacGregorów. Rodzina... Zupełnie obce, nieznanne jej pojęcie. Jak będzie zachowywał się Caine? Czy tak samo jak w Bostonie? Ona w domu ciotki stawała się zupełnie inną osobą.

Byłoby logiczne, gdyby i Caine zmieniał się w otoczeniu najbliższych.

W pewnym momencie zobaczyła wreszcie dom MacGregorów. Ogromna, rześcicie oświetlona szara rezydencja, rysująca się wyraźnie na tle zimowego nieba, sprawiała oszołamiające wrażenie.

- Cudowny dom! - zawołała z entuzjazmem, kiedy jaguar wjechał na podjazd. - Zupełnie jak szkockie zamczysko.

- Ojciec się w tobie zakocha od pierwszego wejrzenia - powiedział Caine z uśmiechem. - Nie każdy potrafi docenić ten dziw architektury, ale ojciec ma bzika na jego punkcie.

- Mogę sobie wyobrazić - przytaknęła, zadzierając głowę, by dojrzeć powiewającą na szczycie wieży szkocką flagę.

Caine odetchnął. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo byłoby mu przykro, gdyby zamiast zachwyty Diana wyraziła uprzejmy podziw.

- Musieliście mieć wspaniałe dzieciństwo - szepnęła.

- O, tak - powiedział z krzywym uśmiechem. - Domiszcze jest ogromne i nie sposób go ogrzać jak należy. Ogromne korytarze pełne są przeciągów, gotyckie sklepienia, kominki tak wielkie, że w każdym można upiec wołu, piwnice jak zamkowe lochy. Bawiliśmy się w nich często w wojny krzyżowe.

- Urocze dzieci.
- Wolałbym, żebyś powiedziała: dzieci z fantazją.

- Pewnie tęsknisz.

- Nie. Wiem, że w każdej chwili mogę tu wrócić. - Caine zaparkował przed wejściem. - Powiniennem chyba cię ostrzec, że wewnątrz jest dokładnie taki, jak zapowiada się z zewnątrz.

- Lochy i tak dalej. - Diana pokiwała głową.
- Tak powinno być.

- Później zabierzemy bagaże. - Caine wziął ją za rękę i poprowadził po granitowych stopniach.

Do drzwi przymocowana była wielka mosiężna kołatka w kształcie lwiej głowy. Caine zastukał i z uśmiechem przełożył widniejącą nad nią gaelicką sentencję:

- Królewski mój ród.

- Jestem pod wrażeniem.

- Powinnaś - mruknął i nachylił się, by ją pocałować.

Odruchowo zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego całym ciałem.

- To najlepszy sposób na mróz. - W progu stał wysoki, szeroko uśmiechnięty mężczyzna.

- Żebyś wiedział - odciął się Caine. - Diano, mój brat Alan. Diana Blade.

Diana uściśnęła mocną dłoń senatora.

- Miło, że przyjechałaś, Diano - powiedział

Alan z ciepłym uśmiechem, kiedy już zmierzył ją baczny, surowym wzrokiem. - Wszyscy czekają w Sali Tronowej.

- Tak między sobą nazywamy jeden z salonów, chociaż bardziej przypomina stodołę niż cokolwiek innego - wyjaśnił Caine, widząc zdziwione spojrzenie Diany. - Rena przyjechała?

- Owszem, przyjechali oboje jeszcze przede mną - wyjaśnił Alan i bracia wymienili szybkie porozumiewawcze spojrzenie.

- To oznacza, że znowu jestem ostatni - mruknął Caine i objąwszy Dianę, ruszył w głąb sieni. - Może przez wzgląd na Dianę otrzymam rozgrzeszenie. A ty, przyjechałeś sam? - zwrócił się do brata.

- Już wysłuchałem wykładu na ten temat - powiedział Alan kwaśno. - Trzydzieści pięć lat i ciągle kawaler - dodał, naśladowując szkocki akcent swojego ojca. - Popadłem w niełaskę.

- Dobrze, że ty, a nie ja - ucieszył się Caine.

- O czym wy mówicie? - zagadnęła Diana.

- Zaraz zobaczysz - szepnął.

Diana otworzyła usta, żeby coś powiedzieć ale w tej samej chwili dał się słyszeć tubalny głos:

- Chłopak powinien częściej przyjeżdżać do matki. Dzisiejsze dzieci. Czy one przejmują, się swoimi przodkami, czy myślą o potomstwie? Gdzie ich дума rodowa?

- Ojciec jest w swoim żywiole - stwierdził Caine, zatrzymując się przed drzwiami salonu.

Powiedzieć, że pokój robił wrażenie, byłoby mało. Podłogę ogromnego pomieszczenia wielkości sali balowej pokrywał od ściany do ściany dywan w kolorze bordo. W głębi sali pysznił się wielki kominek. Wysokie, sięgające sklepienia okna ozdobione były od góry witrażami. W obitym czerwoną skórą fotelu siedział potężny rudobrody mężczyzna. Wokół niego zgromadziła się cała rodzina. Po prawej siedziała kobieta o delikatnych rysach i szpakowatych włosach. Po lewej na sofie zwinęła się podkuliwszy nogi Serena, obok niej zajął miejsce Justin.

Monarcha i jego dwór, pomyślała Diana z uśmiechem. Polubiła wielkiego brodacza od pierwszego wejrzenia.

- Zdawałoby się, że to tak niewiele, oczekiwać, żeby dzieci uszanowały dzień urodzin ojca - ciągnął Daniel, zerkając srogo na Serenę. - Kto wie, czy nie ostatnie.

- To samo mówiłeś w zeszłym roku - wpadł mu w słowo Caine, zanim siostra zdążyła zareagować.

- Zawsze tak straszy - przytaknęła Serena, zrywając się z kanapy na widok brata. Uściskała go serdecznie, po czym zwróciła się do Diany: - Tak się cieszę, że przyjechałaś - zawołała, chwytając ją za ręce.

Justin ucałował siostrę i zerknął na Caine'a. Z jego miny można było wyczytać, że domyśla się zażyłości między tymi dwojgiem. Caine mężnie zniósł spojrzenie szwagra. Dobrze pamiętał, co sam czuł, kiedy zobaczył, że Serena i Justin dzielą wspólny apartament w Comanche.

- Witaj, Caine - Justin otoczył siostrę opiekuńczym ramieniem, usiłując opanować targające nim emocje.

- Wpuściecie wreszcie tę dziewczynę czy zamierzacie tkwić tak w progu? - zagrzmiał Daniel, podnosząc się z fotela. - Niech no przyjrzą się tej twojej Dianie, Justinie. Reno, napełnij mi kieliszek.

- Ja też bardzo się cieszę, że cię widzę - oznajmił Caine z przekąsem, podchodząc do ojca.

- Ha! - huknął Daniel, zmierzył syna surowym spojrzeniem i wybuchnął gromkim śmiechem. - Ty nicponiu. - Objął syna i poklepał go po plecach. - Spóźniłeś się. Matka myślała, że już nie przyjdziecie.

- Jeśli zdążyliśmy przed kolacją, to znaczy, że się nie spóźniliśmy.

- A więc to jest Diana. -. Daniel położył jej dłonie na ramionach. - Ładna z ciebie dziewczyna - osadził, kiwając z uznaniem głową. - Podobna do brata. Wysoka, silna. Tak, ta sama krew.

Diana uniosła lekko brew na to niekonwencjonalne powitanie.

- Dziękuję za zaproszenie, Danielu.

- Nie ma za co dziękować, należysz wszak do rodziny. Śliczna z niej panna, prawda, Anno? - huknął, prowadząc Dianę ku żonie.

- Urocza - przytaknęła Anna i wyciągnęła dłoń. - Nie pozwól mu traktować się jak pełnej krwi klaczka wystawiona na aukcję, Diano. Daniel to prostak. Siadaj koło mnie.

- Klaczka pełnej krwi, aukcja? Co to ma znaczyć? - zagrzmiął Daniel.

- To, co słyszysz - powiedział Caine, sadowiąc się obok siostry. - Dzięki, Reno. - Mrugnął do niej, przyjmując drinka.

Daniel zajął na powrót miejsce w swoim fotelu.

- A więc jeszcze jeden prawnik w rodzinie - zaczął. - Mam wielki respekt dla prawa, jakżeby inaczej, skoro obydwaj synowie w palestrze. Choć Alan, odkąd zajął się polityką, nie ma czasu na nic innego.

- Uważaj, braciszku - mruknął Caine pod nosem, szturchając Alana.

- Powiadasz, że też skończyłaś Harvard - ciągnął Daniel. - Jaki ten świat mały. -. Zerknął na młodszego syna. - I teraz jesteście partnerami.

- Nie jesteśmy partnerami - oznajmili Diana i Caine zgodnym chórem.

- Powiadacie, że nie? Cóż. Nie wiem, skąd też mi to przyszło do głowy - uśmiechnął się przebiegle.

- Rena mówiła mi, że wychowałeś się w Bostonie, Diano - wtrąciła Anna. - Znasz może O'Marrów?

- Moja ciotka zna dobrze Louise O'Marra.

- Tak, Louise. Jak jej mąż miał na imię? Prawda, Brian. Louise i Brian O'Marra. Dziwni ludzie - Anna uśmiechnęła się znad robótki, którą haftowała. - Zapaleni brydżyści.

Diana parsknęła śmiechem, zanim zdążyła się pohamować. Zerknęła na Annę, a ta mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Nie znoszę brydża - ciągnęła. - Może dlatego, że sama gram jak noga.

- Nieprawda - wtrącił Caine. - Grasz jak noga, bo nie znosisz brydża.

- O'Marrowie mają trójkę wnuków, jeśli mnie pamięć nie myli - oznajmił Daniel, omiatając rodzinę znaczącym spojrzeniem.

- Zaczyna się - mruknął Caine do matki.

- Co myślisz o dzieciach, Diano? - zagadnął starszy pan, mrużąc oczy.

- O dzieciach? - Usłyszała za plecami stłumiony chichot. To Alan parsknął śmiechem i teraz usiłował upozorować gwałtowny atak kaszlu. Caine mruknął coś, co brzmiało jak łagodne przekleństwo. - Nie mam wielkiego doświadczenia. - zaczęła, posyłając Caine'owi stropione spojrzenie.

- Kim byśmy byli, gdyby nie dzieci? - pero-

rował Daniel, podkreślając każde słowo uderzeniem dłoni w poręcz fotela. - One dają nam poczucie ciągłości, przy nich uczymy się odpowiedzialności.

- Masz pusty kieliszek - stwierdził Caine, wstając gwałtownie. - Trzymaj się - szepnął do Diany. - Choćbym miał wlać w staruszka ostatnią butelkę whisky w tym domu.

- Może spróbujemy wybawić nasze rodzeństwo z opresji? - Serena nachyliła się z pytaniem do męża.

- Zaczynaj. - Justin pocałował ją w policzek. - Ciekaw jestem, jaką będzie miał minę.

- Tata ma rację - oznajmiła Serena, nic sobie nie robiąc z morderczych błysków w oczach Caine'a.

- Oczywiście, że mam rację - rozpromienił się Daniel. - Jak to możliwe, żeby wasza matka nie mogła niańczyć żadnego wnuka.

- To rzeczywiście straszne - mruknęła Serena, mrugając do Anny. - Postanowiliśmy z Justinem zaradzić tej przykrej sytuacji. Mniej więcej za sześć i pół miesiąca.

- Najwyższy czas... - zaczął Daniel i zamilkł z szeroko otwartymi ustami.

- Lepiej późno niż wcale - dodała Serena i podeszła do ojca. - Nie masz nic do powiedzenia, MacGregor?

- Jesteś przy nadziei?

Rozbawiona staromodnym określeniem, nachyliła się i pocałowała Daniela w policzek.

- Tak. Zanim liście zaczną opadać, będziesz miał wnuka.

W oczach Daniela zabłyśły łzy.

- Moja maleńka. - Ujął twarz córki w dłonie.
- Moja kochana Rena.

- Wkrótce przestanę być maleńka.

- Dla mnie zawsze będziesz moją maleńką córeczką.

Diana odwróciła wzrok, dziwnie poruszona tą sceną. Zobaczyła zapatrzonego w Serenę Caine'a i w lot zrozumiała, że próbuje wyobrazić sobie swoją siostrę jako matkę, a siebie w roli wuja jej dziecka. Dziecka jej brata. W Dianie odezwała się dawna tęsknota za rodziną. Wstała i podeszła do Justina.

- Za wasze dziecko - powiedziała, unosząc kieliszek.

Justin odpowiedział jej w języku Komanczów.

- Nie rozumiem - bąknęła.

- Dziękuję, ciotko moich dzieci - przetłumaczył.

- Musimy uczcić szampanem tę wiadomość - zagrzmiał Daniel. - Rodzi się kolejny MacGregor.

- Blade - sprostowali zgodnie Diana i Justin.

- Niech będzie, Blade. - Daniel uściskał Justina, potem Dianę. - Dobra krew - mruzczał wniebowzięty. - Dobra krew.

Chryste, on mówił o mnie, uświadomiła sobie Diana dopiero po chwili. O mnie i o... Oszołomiona spojrzała na Caine'a. Ten, jakby odgadywał jej myśli, wyszczerzył się w uśmiechu i uniósł kieliszek.

Nie mógł usnąć. Nie próbował nawet się kłaść, wiedział, że nie zmruży oka. Siedział w fotelu i powoli ćmił papierosa. Dziwne, jak bardzo na swoim miejscu zdawała się Diana w ogromnym, tonącym w półmroku salonie, w tym domu przepelnionym jego wspomnieniami z dzieciństwa.

Od wielu tygodni usiłował dojść do ładu ze swymi uczuciami wobec niej. Lubił jej towarzystwo, lubił patrzeć, jak się śmieje, jak odkrywają rozmaite odcienie namiętności. Ale to wszystko mógłby powiedzieć o wielu kobietach. Być może zbyt wielu.

Dlaczego nie był w stanie przestać myśleć! o Dianie? Skąd czerpał tę niezachwianą pewność, że nie umiałby się z nią rozstać? Nawet nie zamierzał próbować.

Zdusił niedopałek w popielniczce i podniósł się z fotela. Rozkosz, pożądanie, to proste, oczywiście słowa. Miłość już nie. Nie dla niego. Miłość oznaczała odpowiedzialność i całkowite oddanie drugiej osobie, tymczasem Caine zawsze się wystrzegał zbytnej bliskości. Do chwili, kiedy poznał Dianę.

A ona, co ona czuje do niego?

Nagle zapragnął być blisko niej. Spała w pokoju obok, w ogromnym łożu z baldachimem. Bojąc się, że zmieni zdanie, wyszedł na korytarz i cicho otworzył drzwi sąsiedniej sypialni.

- Diano - szepnął, spoglądając na śpiącą. - Pragnę cię, Diano. - Nachylił się ku jej ustom.

- Caine! Śmiertelnie mnie przestraszyłeś!

- Nie wydaje mi się - powiedział, siadając na łóżku i przygarniając ją do siebie.

- Co ty robisz? Nie możesz w domu rodziców... - próbowała się opierać.

- Mogę. Pragnę cię, Diano. Nie mogę usnąć bez ciebie.

- Caine. - Chciała coś powiedzieć, ale zamknął jej usta pocałunkiem, który powoli rozpałał płomień w nich obojgu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Diana siedziała w pustej sali sądowej, walcząc z odrętwieniem i mdłościami. Zaciśnęła dłonie na teście. Musi się pozbierać. Musi stąd wyjść, wsiąść do samochodu, wrócić do domu. Ale jak tego dokonać, skoro nogi odmawiają posłuszeństwa.

Rozsądek mówił jej, że zachowuje się jak idiotka. Powinna się cieszyć. Przecież wygrała.

Chad Rutledge został oczyszczony z zarzutów. Ojciec Beth Howard odpowie przed sądem za krzywoprzysięstwo. Beth też, dopowiedziała sobie Diana, spoglądając na miejsce dla świadków. Dziewczynie nie groził wyrok; zeznania kilkunastu osób jasno dowiodły, dlaczego kłamała. Wobec ich dobitności Beth się załamała.

Nie, pomyślała Diana, Beth nie załamała się wobec zeznań, załamała się, bo ja, mecenas Diana Blade, zmusiłam ją do tego.

Słyszała jeszcze swój zimny, bezlitosny, oskarżycielski głos. Widziała bladą, zalaną łzami twarz Beth Howard. Pamiętała, kiedy dziewczyna wykrzyczała swe wyznanie i to, jak Chad wołał, by

dała Beth spokój. Chada uspokoili strażnicy, a Beth, łkając, opowiedziała, co naprawdę się wtedy wydarzyło.

Teraz, w pustej sali sądowej, Diana musiała sama rozstrzygnąć, czym jest wygrany proces w kategoriach czysto ludzkich.

Nigdy nie czuła się równie samotna i równie zagubiona. Miała ochotę płakać, ale z oczu nie popłynęła jej ani jedna łza. Zawodowcy nie płaczą, Jak powtarzał Caine. Caine... Mój Boże, jak bardzo go teraz potrzebowała. Od wizyty w Hyannis Port minęły dwa tygodnie i od tego czasu właściwie z nim nie rozmawiała. Ich dialog urwał się w salonie MacGregorów.

Od tamtej chwili spoglądali na siebie jak dwoje obcych ludzi.

Wiedziała, że znowu jest zdana tylko na siebie. Wystarczyło, że pozwoliła, by Caine pojawił się w jej życiu, i już ogarnęły ją uczucia, o których powinna była zapomnieć. Nie mogła przecież pozwolić sobie na miłość. Powinna znaleźć sobie inne biuro, może nawet wyjechać z Bostonu. Uciec? - szepnął jakiś głos. Tak, być może byłaby to ucieczka. Ucieczka od Caine'a byłaby możliwa, ale jak uwolnić się od samej siebie?

Kiedy go pokochała? Pewnie jeszcze w Atlantic City, kiedy pomógł jej pogodzić się z Justinem.

A może na zaśnieżonej plaży, kiedy uświadomił jej, co znaczy śmiech i pożądanie. Wiedziała, co się dzieje, ale udawała, że nic nie zauważa. Ilekroć odzywały się uczucia, natychmiast zamykała się w sobie.

Podniosła się powoli, omiotła jeszcze spojrzeniem pustą salę i wyszła z gmachu sądu.

Zobaczyła go od razu. Skulona sylwetka na stopniach przed budynkiem. Zawahała się, niepewna, czy podoła rozmowie. Przemogła się.

- Jak się masz, Chad.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

- Czekałem.

- Widzę.

Podniosła kołnierz płaszcza niby to nonszalanckim gestem. - Mogłeś poczekać w środku.

- Potrzebowałem powietrza. - Wsadził ręce do kieszeni. - Nie pozwolili mi widzieć się z Beth.

- Przykro mi. - Tylko nie daj się ponieść emocjom, pomyślała Diana. - Załatwię ci widzenie jutro.

- Marnie pani wygląda.

Diana uśmiechnęła się blado.

- Pani Blade. - Chad chwycił ją za rękę. - Dopiekłem pani. Wykrzykiwałem bzdury.

- To mój zawód, nie przejmuj się.

- Byłem na panią wściekły, że zmusiła pani Beth do zeznań, do płaczu, ale powiem pani... - Chad wyjął z kieszeni papierosa, zapalił. Dłonie nie drżały

mu już, jak w czasie pierwszego widzenia w areszcie.
- Uratowała mi pani życie. I mnie, i Beth. Chcę pani podziękować.

Wyciągnął rękę.

- Czy kiedy postawią ją przed sądem, będzie ją pani bronić?

- Oczywiście, jeśli tylko Beth zechce. Jeśli ty będziesz przy niej.

- Będę. Chcę się z nią ożenić. Niech szlag trafi pieniądze, jakoś sobie poradzimy. - Chad uśmiechnął się po raz pierwszy. - Zawsze wydawało mi się, że czegoś muszę dowieść. Sobie, Beth, światu. Śmieszne, ale teraz niczego już nie muszę nikomu dowodzić.

Diana spojrzała na niego i pokiwała głową.

- Nie musisz. Tylko głupcy tak myślą.

- Przyjdzie pani na nasze wesele?

- Tak - powiedziała z uśmiechem. - A teraz idź do domu. Jutro zobaczysz się ze swoją dziewczyną.

Ucisnęła dłoń Chada i ruszyła do samochodu. Wsiadając, była pewna, że pojedzie do domu, tymczasem pojechała pod kancelarię. Instynkt, przyzwyczajenie? pytała samą siebie. Samochód Caine'a stał na parkingu. Ogarnął ją niepokój. Co mu powie? Może powinna jednak jechać do domu, poczekać, aż minie przygnębienie? Wysiadła.

W gabinecie Caine'a paliło się światło. Za ciężko pracuje, pomyślała z troską. Sprawa Virginii

Day tak go pochłania. Niedługo powinien zapaść wyrok. O przebiegu procesu Diana wiedziała więcej z doniesień prasowych niż od samego Caine'a. Przez ostatnie dwa tygodnie zamienili może dziesięć słów. Co mu powie teraz?

W pogrążonym w półmroku biurze panowała cisza. Drzwi frontowe skrzypnęły cicho, kiedy zamykała je za sobą. Zerkając na schody prowadzące na piętro, zdjęła płaszcz. Znowu ogarnęły ją wątpliwości. Jeszcze mogła się wycofać, wrócić do domu. Zagryzła wargi i powoli weszła na górę.

Drzwi od gabinetu Caine'a stały otworem. Zatrzymała się w progu. Caine siedział za biurkiem, pochylony nad papierami. Marynarkę przewiesił przez oparcie fotela, zdjął krawat i rozpiął ostatni guzik koszuli. W popielniczce tlił się źle zgaszony niedopałek papierosa.

Caine przeczesał włosy palcami i nie podnosząc głowy, sięgnął po omacku po kubek z kawą. Mój Boże, jaką zmęczoną ma twarz, pomyślała. Jakby nie spał od wielu dni. Czyżby proces toczył się nie po jego myśli?

Weszła do pokoju.

- Caine?

Podniósł głowę. W jego oczach pojawił się błysk radości, który jednak zaraz zniknął.

- Diana. Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj o tej porze - powiedział chłodno.

Może się pomyliła. Może to, co wzięła za radość, było tylko zaskoczeniem, projekcją jej własnych uczuć. Nerwowo szukała w głowie słów, od których powinna zacząć.

- Chad Rutledge został uniewinniony. — To wszystko, na co się zdobyła.

- Gratulacje. - Odchylił się w fotelu i przyglądał jej obojętnie. Jest chyba jeszcze piękniejsza niż wczoraj, pomyślał z bólem. Oszaleje, widując ją codziennie i kochając bez wzajemności.

- Czuję się paskudnie - przyznała po chwili.
- Nie mam z czego być dumna. Okropnie potraktowałam Beth Howard.

Caine zacisnął dłoń, rozprostował palce. Bezradność Diany zawsze wywoływała w nim pragnienia przyjścia jej z pomocą.

- Masz ochotę na drinka?

- Nie. Właściwie tak. Owszem, napiję się - zdecydowała w końcu, podeszła do komody w kącie pokoju i nalała sobie pełen kieliszek, nie bardzo wiedząc, jaki nalewa trunk. Nie tak miało być. Słowa, które zamierzała powiedzieć, więzły jej w gardle. Czy Caine nie mówił jej, że zadrecza się wątpliwościami? A przecież chciała mu zaufać. Chciała, żeby to wiedział, i nie potrafiła znaleźć właściwych sformułowań, odpowiedniego tonu.

Zwilżyła usta.

- Masz kłopoty ze sprawą Day?

- Nie, właściwie nie. Proces skończy się lada dzień. - Upił łyk zimnej kawy. - Oskarżyciel ma słabe argumenty. Przesłuchiwałem dzisiaj Ginnie. Była twarda, rzeczowa i całkowicie wiarygodna. Potem przesłuchiwał ją oskarżyciel. Niewiele wskórał. '

- Możesz zatem być pewien wyroku?

- Tak. Virginia Day najprawdopodobniej zostanie uniewinniona - powiedział sucho. - Sprawiedliwość i tak jej dosięgnie. - Widząc zdziwione spojrzenie Diany, dodał: - Będzie wolna, ale w oczach opinii publicznej pozostanie zepsuta, bogatą kobietą, która zamordowała swojego męża i uszła bezkarnie. Mogłem uchronić ją przed więzieniem, nie uchronię jednak przed ludzkim sądem.

- Prawnik, którego bardzo cenię, powiedział mi kiedyś, że adwokat nie powinien kierować się emocjami.

Caine wzruszył ramionami.

- Co on mógł wiedzieć.

Diana odstawiła kieliszek, podeszła do biurka.

- Dasz się zaprosić na kolację?

Miał ogromną ochotę dotknąć jej, poczuć pod palcami miękką, ciepłą skórę, szybko się jednak opanował. Odrzuciła go. Raz wystarczy.

- Nie. Mam jeszcze mnóstwo pracy.

- Trudno. Zobaczę, co mamy w lodówce na dole.

- Nie.

Zatrzymała się na to jedno, wypowiedziane

ostrym tonem słowo. Przez chwilę wpatrywała się w ogień. Odezwała się dopiero, kiedy nabrała pewności, że głos jej nie zdrzy.

- Chcesz, żebym sobie poszła, tak?

- Powiedziałem ci, jestem zajęty.

- Poczekam. - Zaczęła nerwowo obracać w dłoni rączkę pogrzebacza. - Moglibyśmy zjeść późną kolację u mnie w domu.

Spoglądał przez chwilę w milczeniu na jej szczupłą sylwetkę. Oferowała mu szansę powrotu do poprzedniego układu, do układu, jaki dotąd zawsze łączył go z kobietami. Luźny związek bez żadnych zobowiązań. Luźny i pusty.

Caine z westchnieniem opuścił głowę. Ile to razy myślał o niej w ciągu ostatnich dwóch tygodni? Chciał ją błagać, duma nie miała żadnego znaczenia. Któregoś dnia o świcie był bliski tego, żeby do niej jechać i jeśli będzie trzeba, siłą wdrzeć się do jej mieszkania. W desperacji rozważał wszystkie możliwości, od racjonalnej rozmowy po porwanie. Absurd. Wiedział doskonale, że Diany nie zmusi do niczego, nie wybłaga od niej nic, czego sama nie będzie chciała mu ofiarować.

Pragnął jej, potrzebował jej, tęsknił za nią. Jeszcze kilka tygodni temu wszystko wydawało się takie proste. Teraz nic już nie było proste.

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzystam
- powiedział krótko.

Zamknęła oczy. Nie spodziewała się, że odmowa może aż tak zabołeć.

- Bardzo cię skrzywdziłam - szepnęła. - Nie wiem, czy mogę to w jakikolwiek sposób naprawić.

Caine zaśmiał się.

- Nie potrzebuję twojego współczucia, Diano.

- To nie jest tak.

- Dajmy temu spokój.

- Proszę, Caine.

- Daj spokój, do cholery! - Z trudem zachowywał panowanie nad sobą. - Idź do domu. Mam pilną pracę.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie przyszło ci do głowy, że nie mam ochoty na rozmowy? Otworzyłem przed tobą duszę. - Słowa padły, zanim zdążył się powstrzymać. - Zrobiłem z siebie idiotę. Usłyszałem już, dlaczego nie możesz mi dać tego, czego od ciebie chciałem. Nie zamierzam wysłuchiwać twoich racji raz jeszcze.

- Czemu nie pozwalasz mi powiedzieć, z czym do ciebie przychodzę? - krzyknęła Diana.

- Bo mnie to już nie obchodzi. - Nie wiedział, kiedy zerwał się zza biurka, znalazł się przy Dianie i mocno przygarnął ją do siebie. Do diabła z miłością, myślał, całując ją. Jeśli chce związku bez zobowiązań, będzie go miała. Po chwili ocknął się, odsunął zdjęty niesmakiem wobec samego siebie.

- Wyjdź stąd, Diano. Zostaw mnie samego.

Diana zacisnęła dłonie na oparciu krzesła.

- Nie wyjdę, dopóki nie powiem, co mam ci do powiedzenia.

- W takim razie ja wyjdę.

Zanim zdążył zrobić krok, przyskoczyła do drzwi, zatrzęsnęła je z hukiem i oparła się o nie plecami.

- Siadaj, zamknij się i słuchaj.

Przez chwilę myślała, że Caine zacznie się z nią szarpać. Gdyby wzrok mógł zabijać, pewnie już by nie żyła.

- Dobrze, mów,

- Siadaj.

- Nie przeciągaj struny.

Uniosła hardo brodę.

- Jeśli chcesz, możemy stać. Nie zamierzam cię przeproszać za to, co powiedziałam w Hyannis Port. Mówiłam, co czuję. Moja kariera jest dla mnie ważna, bo to ja i tylko ja na nią sobie zapracowałam. Zaufać komuś, zaufać całkowicie, we wszystkim, to najtrudniejsza rzecz, o jaką mógłbyś mnie prosić. Nie możesz żądać ode mnie zaufania, sama muszę dojrzeć do tego, by cię nim obdarzyć.

- Dobrze. Teraz mnie stąd wypuść.

- Jeszcze nie skończyłam. - Przełknęła z trudem ślinę. - Myślę, że czas, byśmy zostali partnerami.

- Partnerami? - W miejsce wściekłości w oczach Caine'a pojawiło się osłupienie. - Chryste, po tym wszystkim, co między nami zaszło, po tym, co ci powiedziałem, składasz mi zawodowe oferty?

- To nie jest żadna zawodowa oferta - prychnęła Diana. - Chcę, żebyś się ze mną ożenił.

Caine zmrużył oczy tak, że teraz nic już nie mogła z nich wyczytać.

- Coś ty powiedziała?

- Proszę, żebyś się ze mną ożenił. - Diana sama nie rozumiała, dlaczego jeszcze nie ugięły się pod nią kolana.

- Oświadczasz mi się? - zapytał Caine ostrożnie.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem, ale nie była pewna, wściekłości czy zażenowania.

- Chyba wyraziłam się jasno.

Zaśmiał się, przetarł twarz dłońmi i podszedł do okna.

- Niech mnie diabli.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. - Diana czuła się jak skończona idiotka.

- Nie wiem. - Po dwóch tygodniach udręki, ona pojawia się nagle i proponuje mu małżeństwo. Caine nie mógł pozbierać myśli. - Takie mam widać poczucie humoru.

- Zostawię cię, żebyś mógł się nacieszyć dowcipem.

Nacisnęła kłamekę, ale Caine był szybszy. Zatrzasnął drzwi, zanim zdążyła wyjść.

- Diano.

- Odsuń się.

- Zaczekaj chwilę. - Wziął ją za ramiona i oparł o drzwi. - Musimy zachowywać się cały czas jak żuraw i czapla? - zapytał zupełnie już poważnie. - Chcę wiedzieć, dlaczego chcesz, żebym się z tobą ożenił.

Diana patrzyła na niego przez chwilę wściekłym wzrokiem, wreszcie przełknęła dumę.

- Ponieważ po tym, co ci powiedziałam, ty mnie nie poprosisz. Nie wiem, czy mi wybaczysz.

Caine pokręcił głową.

- Nie bądź śmieszna, wybaczenie nie ma tu nic do rzeczy.

- Zraniłam cię.

- Owszem, zraniłaś.

- Przepraszam - szepnęła, ale w jej tonie nie było cienia współczucia czy litości. Caine poczuł ogromną ulgę.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Diano. Dlaczego chcesz wyjść za mnie?

- Chcę przyrzeczenia. Bez niego łatwo się rozstać, a skoro mamy być razem...

- Nie. - Caine znowu pokręcił głową. - Wiesz, że nie to chcę usłyszeć. Powiedz... dlaczego?

W jej oczach zobaczył już nie strach, ale najprawdziwszą panikę.

- Ja... - Diana zacisnęła powieki.

- Powiedz to - naciskał Caine.

Otworzyła oczy. Teraz już nie mogła się wycofać. Trzeba powiedzieć wszystko, do końca. Caine potrzebował tego tak samo jak ona.

- Kocham cię - wyszeptała i cały strach w tej samej chwili ustąpił. - Kocham cię, Caine. - Ze śmiechem zarzuciła mu ręce na szyję. - Kocham. Ile razy mam to powtórzyć?

- Zaraz się dowiesz - szepnął, całując ją. - Jeszcze raz. Powiedz to jeszcze raz.

Ze śmiechem pociągnęła go na dywan.

- Kocham cię. Gdybym wiedziała, jaka to radość mówić „kocham”, nie czekałabym tak długo. - Ujęła twarz Caine'a w dłonie i spoważniała nagle. - Chcę być z tobą, należeć do ciebie. Wiedziałam o tym od początku, ale bezpieczniej było udawać, że nie mam o niczym pojęcia.

Caine pocałował ją w rękę.

- Nie mogę dać ci żadnych gwarancji. Tylko miłość.

- Nie chcę gwarancji. Już nie. Postawię na ciebie, MacGregor. I wygram.

Caine zdjął z niej żakiet, muskał jej wargi.

- Dzisiaj wszystko dzieje się po raz pierwszy - mruknął, rozpinając bluzkę Diany. - Po raz pier-

wszy ktoś mi się oświadczył. Po raz pierwszy wy-
dobyłem z siebie te dwa najważniejsze słowa. Po
raz pierwszy będziemy kochać się w biurze.

Diana westchnęła cicho.

- Jeszcze tylko drobny punkt dotyczący proce-
dury, mecenasie.

- Tak?

- Nie odpowiedziałeś, czy przyjmujesz moje
oświadczyzny.

- Nie dasz mi czasu do namysłu? Tak chyba
zawsze się robi przy oświadczeniach. - Pocałował
ją w ucho.

- Nie.

- W takim razie przyjmuję. - Spojrzał na Dianę
rozbawionym wzrokiem. - Przedłużymy ród Mac-
Gregorów?

Diana uśmiechnęła się leniwie.

- Koniecznie. W moich żyłach płynie dobra
krew.

- Uczynisz mojego -ojca najszcześniejszym
człowiekiem na świecie, Diano.